№ 9. Warszawa, dnia 26 (14) Lutego 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POSTĘP I NĘDZA.

Jeżeli jakakolwiek idea może być cechą epoki albo raczej osią, koło której w pewnym czasie obracają się wszystkie wypadki. to dla naszego okresu jest nią niewątpliwie idea wywłaszczania jednostek na korzyść społeczeństwa. Przewija się ona przez tysiące praw, teoryi, systematów, począwszy od usiłowań rządów. a skończywszy na usiłowaniach rewolucyj. Wszyscy, którzy myślą, myślą dziś nad rozwiązaniem zagadnień społecznych, nad ustosunkowaniem kapitału do pracy, bogactwa do nędzy, posiadania do bezwłasności. Imimo największych różnic w pomysłach, wszystkie, pędzone jakąś dziwną fatalnością ducha czasu, biegną do wspólnego wniosku, do zamiany własności jednostkowej na zbiorową. Po tej drodze idzie zarówno osadzony w kozie za socyalista Liebknecht, jak i osadzający go Bismarck. Niemal pytamy się, dla czego ci ludzie stoją na przeciwległych krańcach? Kanclerz niemiecki chce koleje, towarzystwa ubezpieczeń, co można wreszcie wprowadzić w posiadanie państwa; poseł socyalistyczny pragnie również w imieniu społeczeństwa opanować wszystkie czynniki materyalne. Widzimy już socyalistów państwowych, katedrowych, rewolucyonistów, szkołę realną, naukową, idealną, a śród tych najrozmaitszych podziałów dostrzegamy ten niezawodny fakt, że prąd wybiegł po za ciasne koło wichrzycieli fabrycznych i przeniknął tak daleko, iż nawet jego granic dojrzeć nie możemy.

Jak silnem pragnieniem sprawa ta pali społeczność europejską, przekonywa nowe, charakterystyczne zjawisko w literaturze ekonomicznej. Nieznany dotąd Henryk George, amerykanin, wydał przy końcu zeszłego roku książkę p. t. *Progress und Poverty*, która rozbiegła się już w trzech wydaniach angielskich i jednem niemieckiem. Jej autor w ciągu kilku tygodni został człowiekiem sławnym. I dla czego? Dla tego tylko, że wystąpił ze świeżem lekarstwem na „rany społeczne". Czem Europa się zajmuje, i nam nie powinno być obcem. Więc poznajmy balsam.—Dyagnoza choroby, postawiona przez George'a, znana nam jest z medycyny socyalistycznej. „Występek, nędza i pauperyzm—powiada on—nie są to nieuniknione wyniki wzrostu ludności i rozwoju przemysłowego, ale skutki *przestąpienia* najwyższego *prawa* sprawiedliwości, polegającej na tem, że pewni ludzie posiadają, to, co natura *przeznaczyła* dla wszystkich." Socyalizm (mówimy tu ciągle o teoryi naukowej. nie o katechizmach agitacyjnych), śród wielu niedostatków ma jeden najważniejszy, tkwiący w jego postawie i niedozwalający mu wznieść trwałego systematu—mianowicie zupełny brak przyrodniczej pozytywności. Chcąc wynaleźć sobie jakiś trybunał moralny, apeluje od dzisiejszych wyroków do *praw* natury, czyni z niej jakąś rozumną istotę, która stworzywszy ludzi, rozdzieliła pomiędzy nich środki życia, a tymczasem mocniejsi obrabowali słabszych i wytworzyli obecny stan niesprawiedliwości. Gdyby socyaliści powołali się na jakieś bóstwo, na rozumnego stwórcę, mieliby przynajmniej wygodną hipotezę. Tymczasem uzasadniając swoją teoryę naturalistycznie, stawiają na świadectwo to, co ani za nimi, ani przeciw nim przemówić nie może. Bo nawet życząc światu jak najrównomierniejszego podziału środków, przyznać trzeba, że natura nie przepisała żadnych praw i nie przeznaczyła ludziom niczego. Co mają, to sami sobie wzięli. Jej reguły są tylko prawami fizycznemi, ale nie moralnemi. Dla niej jest to zupełnie obojętnem, czy ziemia należy do wszystkich zarazem, czy do jednego. Ona nie zna *przestępstw*; bo nawet gdy kamień, rzucony w górę, nie spadnie, lecz zatrzyma się na drzewie, jej prawo ciężkości nie jest przez to pogwałcone. Reguła moralna, sprawiedliwość, cała etyka jednostkowa czy społeczna musi szukać dla siebie dowodów tam, zkąd wyrosła, a więc w uczuciach lub przekonaniach ludzkich, nie zaś w rozumie lub uczciwości natury.

Drugą przez George'a wcale niezałataną dziurą socyalizmu jest pokrewny z powyższem złudzeniem brak pozytywności psychologicznej. Według niego natura, wyrobiwszy masę jednowymiarowych form, napełniła je jednorodnym materyałem psychofizycznym; w ten sposób odlała i seryami odlewa ludzkość, która jest zbiorem identycznych figur. W duchu tej logiki każdy człowiek, który chce zająć dwie lub kilka foremek, popełnia nadużycie, bo zabiera miejsce innym. Teorya taka może być słuszną w odniesieniu do giserni, ale traci zupełnie swą moc w rodzie ludzkim, który przedstawia niezliczoną rozmaitość organizmów. Socyalizm nie zna psychologii i znać jej nie chce. Mści się też ona podobno na nim najokrutniej i plącze mu wszystkie wywody. Pamiętając o tem, uchwyćmy znowu nić rozumowania George'a. „Uznanie prawa jednostek do ziemi jest zaprzeczeniem naturalnych praw innych ludzi, jest ono krzywdą, ujawniającą się w nierównym rozdziale dóbr. Jeżeli bowiem jakiś człowiek może rozporządzać gruntem, na którym inni muszą pracować, może on również przywłaszczyć sobie rezultat ich pracy, jako cenę za dozwolenie jej. Jeden więc korzysta, nie produkując, inni produkują, nie korzystając. Jeden jest niesprawiedliwie wzbogacanym, drugi odzieranym. Nieustanne wzrastanie renty gruntowej, tj. ceny, którą praca musi płacić za użytkowanie z ziemi, pozbawia wielu dóbr, które oni produkują, gromadząc je w rękach niewielu. którzy do wytworzenia tych dóbr wcale się nie przyczyniają." Prywatnemu posiadaniu ziemi i związanemu z niem wzrastaniu renty przypisuje George winę uciśnięgo położenia klas pracujących. Po-

stęp jest wierzchnim kamieniem młyńskim a prywatne posiadanie ziemi spodnim; między nimi ścierają się z wrastającym naciskiem żywioły pracujące.

Jak zapobiedz złemu?

W odpowiedzi na to pytanie George przypomina nam nieco fyzyokratę, nieco Bismarka, nieco katedrowego socyalistę.

„Wszystkie podatki winny być sprowadzone do jednego gruntowego.“ Autor bowiem chcąc państwo uczynić wyłącznym właścicielem ziemi a nie chcąc wyprzeć jednostek z posiadania jej żadnym socyalistycznym gwałtem, ucieka się do innego sposobu, do takiego opodatkowania gruntu, któreby zniosło zupełnie własność prywatną. Od tej zmiany spodziewa on się bardzo wielu dobrodziejstw, powrotu złotych czasów, ziemskiego raju. Igła szwaczki, łódka rybaka, pług rolnika i sklep kupca — wszystkie postacie pracy uczułyby się wolne od gniotącego je dziś ciężaru. Cena ziemi by spadła, a monopolizowanie jej nie opłacałoby się. „Tylko właściwy ziemianin odnosiłby korzyści, gdyż opodatkowanie wartości gruntowych całą siłą spadłoby nie na obwody wiejskie, ale na miasta, gdzie renta gruntowa jest wysoka. W okolicach słabo zaludnionych ziemianin opłacałby bardzo nieznaczne podatki. Skoro bowiem obciążałyby tylko wartość samej ziemi, spoczywałyby zarówno na uprawnej jak na nieuprawnej, zarówno na gruncie zagospodarowanym i zabudowanym, jak na pustce i odłogu tejże jakości.“

Wyłączne opodatkowanie wartości gruntowych nie tylko uwolniłoby ludność pracującą od wszelkich ciężarów, ale nadto pomnożyłoby produkcyę płodów i wyrównało ich rozdział. Odtąd nierówność bogactw zależałaby tylko od różnicy w pilności i uzdolnieniach osobników.

Taka jest esencya dzieła George'a.

Ma ono dwie słabe strony, wspólne wszystkim rojeniom na temat równości ekonomicznej: psychologiczną i praktyczną. Na podobieństwo wszystkich konstruktorów nowego układu stosunków, i George sądzi, że ludzie pozbędą się wszystkich dotychczasowych instynktów, pożądań i wad, i jako nowe, zupełnie z innego, jednorodnego materyału urobione istoty dopasują się do zmienionych form życia. Gdyby ludzkość można było tak łatwo przerobić, jak nakreślić reformę ekonomiczną, jużbyśmy dawno nie mieli tak zwanej „kwestyi społecznej.“ Autor zbyt ufa „elektryczności moralnego wszechświata;“ prąd ten niewątpliwie przebiega po nerwach życia, ale nie jest on ani jedynym, ani najsilniejszym, a przynajmniej tak silnym, ażeby mógł utrzymywać w należytym ruchu maszynę społeczną według budowy George'a.

Co do względów praktycznych, to ponieważ autor podsuwa swoje lekarstwo jako sposób natychmiastowego uleczenia chorób ludzkości, traci ono wartość wobec dwu względów: 1) renta gruntowa nie da się dziś w wielu państwach, skutkiem braku podstawy technicznej, oznaczyć; 2) nie da się nigdy, jako czynnik podlegający ciągłym zmianom, w żadne formy słusznego opodatkowania ująć. Że ziemia będzie musiała kiedyś, prędzej czy później, wziąć na swe barki cały ciężar podatków, to zdaje się pewnem i to w wywodach George'a jest punktem najmocniejszym. Wyjąwszy ten punkt, otrzymamy w jego teoryi fantazyę społeczną, która unosi się jeszcze w obłokach marzenia, nad którą jednak każdy ekonomista zastanowić się winien. Bo wszakże i bajki uczą.

Nam bajka ta daje prawdopodobnie najmniej do myślenia. Nie dla tego, ażebyśmy nie doznawali wcale cierpień społecznych; nie dla tego, ażeby żywioły uprzywilejowane nie ścierały się z upośledzonymi, ale dla tego, że górująca po nad wszystkiem polityka, zagłusza w nas sprawy społeczne. To nas nietylko zabezpiecza przeciw praktycznym wichrzeniom socyalistycznym, ale nawet zobojętnia na nowe teorye ekonomiczne.

Rozstając się z książką George'a objaśnić winniśmy jeden w niej drobiazg — tytuł. Wyraża on założenie autora, który postawił „wykryć prawo, przykuwające nędzę do postępu i mnożące niedostatek z wzrostem bogactwa.“ Prawem tem ma być zasada prywatnego posiadania ziemi.

O.

ROZWÓD WE FRANCYI.

Paryż, d. 15 lutego 1881.

Rozwód zatem został odrzucony w francuskiej Izbie na skutek gorącej mowy Henryka Brisson, republikanina. Ludzie, znający stan umysłów obecnej Izby, wynik ten przewidzieli zawczasu, i dlatego też ogłoszenie go w *Dzienniku Urzędowym* zrobiło bardzo małe wrażenie. Nikt się nie dziwi; jedni się cieszą, inni szykują do nowej wojny. Gdyby nie wybory, mające się odbyć w niedalekiej przyszłości, sprawa ta, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w połowie byłaby zatwierdzoną na tych prawie już ostatnich posiedzeniach francuskiego parlamentu. Widoki ponownych wyborów pociągnęły posłów za wolą pana Brisson, który może z dumą powiedzieć o sobie, że on, nikt inny, zatrzymał społeczeństwo na drodze postępu. A rozwód, bezzaprzeczenia, w tym razie byłby krokiem naprzód, tak jak krokiem naprzód jest wynalezienie klapy bezpieczeństwa dla maszyn parowych w przemyśle.

Ludzie, jako istoty, których ani żywot, ani czyny nie są wieczne, według woli prawodawcy z 1816 roku muszą stanąć obok siebie z wiarą, że ani ich upodobania, ani temperamenty, ani też charaktery nie mogą zmienić się przez całe życie, ba! nawet nazajutrz po podpisaniu umowy małżeńskiej, ponieważ prawo wymaga, aby deklaracya, wniesiona do ksiąg szнurowych *maire'a*, obowiązywała przez wieczność całą. Nierozwiązalność małżeństwa, jak w obecnym wypadku, nie jest bynajmniej pętlicą, którą by ultramontanizm sam tylko chciał zarzucić na szyję ludzkości. Rozwód, według pana Brisson, a tem samem i większości Izby, odrzucony został w imię postępu, w imię dobra narodu, w imię trwałości francuskiej rzeczypospolitej i rozwoju demokratycznych idej. Co za obłuda! co za śmiałość uczonej i sztucznie na paragrafach wstecznego kodeksu wychowanej obłudy! Większość narodu — mówi Brisson — rozwodu nie żąda; prowincya jest mu na wskróś przeciwną, a miasta idą tylko za głosem kilkunastu dziennika-

DĄSY KOBIET

przez

Ludwika Börnego.

Dawniejszą moją narzeczonę nazywałem—jak każe zwyczaj ludów cywilizowanych — aniołem; dzisiejszą żonę nazywam, w chwili kiedy gniewam się na nią — aniołem upadłym; gdy jednak horyzont naszego pożycia rozwidni się nieco—zwię ją aniołem podciętym. „Dla czego podciętym?“ spytała Wilhelmina, gdy po raz pierwszy użyłem tego wyrażenia. Zmięszałem się, gdyż udawać nie umiałem jeszcze; nie wiedziałem dotąd, jak często korzystnie jest w małżeństwie uciekać się do kłamstwa i jak często bez tego fortelu oczki bywają czerwone. „Droga Wilhelmino“ — odparłam, wkładając jednocześnie do jej karminowych usteczek kawałek cukru, który ona tak lubi, — ptaszku mój luby, czyż nie drżałbym o własne szczęście, gdyby twe skrzydełka anielskie nie były trochę podcięte? Czyż bym się nie bał, żebyś nie uleciała?... do twego nieba, do twojej ojczyzny, chciałem dodać z poetycznym zapałem. Ale dobra moja żona nie dała mi dokończyć. „Jakto? — czyliż się lękasz, ażebym ci się przeniewierzyła kiedykolwiek?“—zawołała, i nie czekając odpowiedzi, zmarszczyła twarzyczkę, zacisnęła usteczka — *zadąsana!* Napróżno błagałem, napróżno groziłem, napróżno przekładałem, napróżno milczałem nawet — dąsała się uparcie! Szybkim krokiem przebiegłem parę razy pokój, w całem *Mimice* Engla nie znajdziesz żadnego ruchu, któregobym w owej chwili z całą prawdą nie oddał: miłość, nienawiść, gniew, wściekłość, rozpacz — wszystko, — a jednak dobra moja Wilhelmina była niewzruszoną. Przy tej sposobności poznałem po raz pierwszy owe sławne dąsy kobiet, i nie zapomniałem ich nigdy!... Trzydziesty dzień upływał od chwili mego ślubu, gdy szczęście moje zaczęło wstępować w znak raka. Z początku droga moja Wilhelmina dąsała się na jednem krzesełku tylko, potem już w jednym kąciku, następnie zamknęła się dla dąsów w jednym pokoiku, aż w końcu przez wprawę doszła do tego, że się dąsała w calutkiem mieszkaniu.

Uczyłem się trochę teoretycznej i praktycznej filozofii, nieobce również mi są: metafizyka, logika, antropologia i psychologia empiryczna; ale teoryi żeńskich dąsów dotąd gruntownie poznać nie mogę. Pragnę jednak udzielić czytelnikom kilka bezspornych zasad, które wyprowadziłem z doświadczenia, może one nie będą bez korzyści w dzisiejszem położeniu Europy. Handlarze papierów państwowych, czy też papierowi handlarze państwa (nie wiem, jak brzmi lepiej) zapytują dziś często siebie: — jaki będzie koniec wojny z Hiszpanią? O niewiadomości do pozazdroszczenia! Kawaler tylko może wątpić, żonaty wie na pewno, że francuzi przegrają. Dąsy kobiet nie są tylko wojną partyzancką, którą one prowadzą ze skoncentrowaną potęgą mężczyzn i z której zawsze wychodzą zwycięzko. Na co się wam przyda ciężka artylerya, kiedy ręce, które przykładają lonty, komar za komarem tnie i płacze. Co wam pomoże trzykroćstotysięcy dobrze uzbrojonych dowodów? Kobiety, od chwili gdy zawarły sojusz ze złem, na twardym stoją gruncie — nie podołacie. Najniebezpieczniejszą ich bronią są usta, — używają ich one do mówienia lub do milczenia. Jeżeli mówicie a macie dużo rozumu i cierpliwości, zmusicie je niekiedy do

rzy, kilku zajadłych szperaczów w statycznych liczbach i kilku dramatycznych autorów, którzy tak dobrze dziś opłakują los ludzi skutych na zawsze kontraktem lub jęczących w kajdanach separacyi, jak jutro opłakiwać będą nieszczęście i złą dolę rozwiedzionych.

Jest w tych słowach wiele wprawdy.

Większość narodu rozwodu nie żąda, ani słowa!— ale dlatego tylko, że postęp dokonywa się wolą mniejszości, nie zaś całej masy, która, jako nieoświecona, później go dopiero przyjmuje; dlatego, że stan umysłowego i prawnego uciemiężenia jest większej części narodu wygodnym, i nareszcie dlatego, że nierozwiązalność małżeństwa, jako sakramentu, jest jednym z dogmatów katolickiej wiary, która, jeżeli nie zasadą, to przynajmniej formą samą zanadto panuje nad ogółem, aby on miał podnieść głowę od razu i zawołać jak jeden: ja tak chcę!

Że statyczne dane, które nie uwzględniają ani temperamentu, ani zwyczajów, ani też dziejowego wykształcenia francuskiego umysłu, przez porównanie ze statystycznemi liczbami zagranicy mogą być na wskróś błędne, i to, że we Francyi na 1000 ludzi więcej jest separacyi niż w Anglii lub jakimś innym kraju rozwodów, co według Pana Brisson niczego nie dowodzi, — zgoda.

Że rozwód więcej znajduje stronników pomiędzy literatami i dramaturgami, niż w narodzie całym, i to tylko z powodu artystycznych i umysłowych wymagań tych ludzi, którzy oddają się na usługi przegranej sprawie przez naturalną w nich chęć sprzeciwiania się, zgódźmy się, gdyż sprzeczka w tym razie nie doprowadziłaby do żadnego pozytywnego wyniku. Na to jednak, aby rozwód, w takich choćby tylko granicach, jak go chce mieć drugi projekt pana Naqueta, był podkopywaniem rodziny a ztąd całości i trwałości rzeczypospolitej we Francyi, zgodzić się już niepodobna na przekór Brissonowi. Szanowny ten adwokat, który w elastycznym swoim mózgu umie tak doskonale pogodzić ideę powszechnej równości i swobody, urzeczywistniającej się w formie republikańskiego rządu, z ideą osobistego przymusu wcielonego w formę nierozwiązalności małżeństwa, ocalenie kraju i rzeczypospolitej widzi jedynie w utrzymaniu prawnej separacyi, która, będąc również jak rozwód klapą bezpieczeństwa dla roznamiętnionych małżonków, ma nad nim tę wyższość, że pogniewanym zostawia czas i możność pojednania się po upływie pewnego przeciągu czasu. Środek ten ma być ocaleniem rodziny, tego „kamienia węgielnego,“ tej „ostatniej komórki społecznej“ „tego zarodka państwa“, jak go mówca w nawale swych dosadnych porównań nazywa.

Że rodzina jest podstawą państwowego i narodowego bytu, o tem nikt nie wątpi; aby jednak wprowadzenie rozwodu miało być targnięciem się na istnienie rodziny, o tem może być tak szczerze jak p. Brisson przekonany ten tylko, kto nigdy nie widział Niemiec, Szwajcaryi, Belgii, Holandyi, Anglii, Ameryki i tych wszystkich krajów, w których życie rodzinne jest i bardziej uszanowane i trwalsze, niż we Francyi.

Najzabawniejsze jednak w argumentacyi tego przedstawiciela większości narodu są jego krodyle łzy nad gorszącym przebiegiem przyszłych rozwodowych procesów i jeremiaszowe jęki nad losem nieszczęśliwych dzieci.

Wyborne! Skandaliczność możliwych procesów wstrzymuje prawodawcze ciało od zagłosowania rozwodu, jak gdyby separacya nie przedstawiała tej samej niemiłej strony przy rozchodzeniu się małżeństw, lub jak gdyby procesy o cudzołóstwo z dołączeniem dowodów nie były codziennym objawem francuskiego życia.

A dzieci? Dzieci według pana Brisson i większości posłów, zwłaszcza na kilka już tylko miesięcy przed wyborami, byłyby zanadto nieszczęśliwe pod dachem nowo-pożenionych małżonków, wtenczas kiedy los ich jest zupełnie zapewniony, ponieważ z ojcem żyją pod dachem jego kochanki, lub z matką pod dachem kochanka, o czem zresztą ciało prawodawcze wie doskonale z większości separacyj, które za motyw mają cudzołóstwo a za skutek dzieci naturalne, dzieci bez imienia, majątku i praw, jako zrodzone w cudzołóstwie. Ale takie położenie jest moralne, ponieważ istnieje, i konieczne dla całości rzeczypospolitej, ponieważ wprowadzenie rozwodu do kodeksu obraziłoby przekonania katolików, którzy stanowią większość francuskiego narodu.

Właściwie argumentacyj obrońców nierozwiązalności małżeństwa nie należałoby brać na seryo, tak one są sprzeczne z moralnym stanem francuskiej rodziny, która pod opieką prawa pozwala sobie tyle i tak częstych gorszących wybiegów po za granice ślubnej umowy, i tak one pozbawione są pozorów nawet słuszności. Walka jednak z niemi, i to walka ciągła, nieustanna i silna, jest konieczną, ponieważ bez walki i katolicyzm, dla którego rozwód a tem samem usunięcie rozdwojenia umysłów w rodzinie skutej kodeksem przymusu, i rząd, dla którego katolicyzm jest wygodnem narzędziem prowadzenia mas, pomimo braku dostatecznych argumentów nie zgodzą się łatwo. Kto jednak dziś tę walkę podejmie, jeżeli umysły takie, jak pana Brisson, który się mieni być republikaninem, lub samego projektodawcy, pan Naquet, który uchodzi a przynajmniej uchodził za radykalnego reformatora — poddały się magicznemu wpływowi oportunizmu, to jest osobistej potrzebie utrzymania *statu quo* we wszystkich instytucyach, odziedziczonych po napoleonizmie i w dyktatorskich celach z religijną czcią pomimo szumnych słów aż dotąd przechowywanych? Nie zapominajmy bowiem, że już jeżeli nie p. Brisson, który był tylko republikaninem w formie, to w każdym razie p. Naquet, który zreformował swój projekt rozwodu na zasadach mniej szerokiej, osobistej swobody, niż w pierwotnej jego redakcyi, dla tego oportunizmu z „wczorajszego apostoła rozwodu“, jak go tu powszechnie nazywają, stał się tylko prostym stronnikiem Gambetty, prostym poplecznikiem bez energii, bez woli, bez wytrwałości. Jedyną nadzieją— przyszłe wybory, to jest jeżeli naród, korzystając z wyższości głosowania z listy (*scrutin de liste*) nad głosowaniem przez okręgi (*scrutin d' arrondissement*), w miejsce zaściankowych powag,

---

milczenia; gdy milczą jednak (co w domowej sztuce wojennej zwie się dąsaniem), próżne są wszelkie wysiłki otworzenia im ust; musicie ustąpić i zawrzeć ostatecznie pod wszelkimi warunkami pokój — pirenejski.

Mężczyzna rozgniewany wznosi przynajmniej głowę po nad chmury swego gniewu, burza małżeńska huczy tylko pod jego stopami; kobieta trzyma głowę pod grzmiącym obłokiem i najdrobniejszy promyk pokoju nie oświetla jej ponurej twarzy. Kiedy się kłócę z moją dobrą Wilhelminą, wiem dobrze, że za kwadrans będę już skłonny do zgody. Ala mój zadąsany aniołek nie myśli nawet o tem, by kiedykolwiek mógł być znów dobrym dla mnie. Komiczne nieporozumienie doprowadza ją zazwyczaj do stokroć gorszego gniewu. Zwykle nazywam lubą małżonkę *Wilhelminą*, ale jak tylko kłócić się zacznie — *Minką*. Słówko to oburza ją jeszcze bardziej, gdyż zdaje jej się, że używam tego pieszczotliwego zdrobnienia jedynie przez szyderstwo; dobra duszyczka dowie się z *Dziennika porannego*, że ją dla tego tylko nazywam Minką, w chwili gdy się dąsa, bo wtedy przedstawia mi się ona jako mały *Mina*,—tak zręcznie umie ona prowadzić wojnę partyzancką!

Proponowałem już często mojej drogiej żonеczce, że zaprenumeruję miesięcznie dąsy, przyznawszy jej z góry na trzydzieści dni słuszność. Sądziłem, że w ten sposób żyć będziemy lepiej; ale ona ani słyszeć, chciała o takiej ugodzie. Skutkiem tego muszę w mym kalendarzu domowym zapisywać wiele dni posępnych, a przy końcu roku bilans meteorologiczny nie zawsze wypada na moją korzyść. Kalendarzowi memu smutną i niezwykłą cechę nadaje szczególnie to, że oznaczam dzień i minutę w której Wilhelminka zaczyna się dąsać, a nigdy oznaczyć nie mogę ani dnia, ani godziny, kiedy dąsać się przestanie. Dąsa się ona tak powoli, tak stopniowo, że niepodobna jest określić, kiedy przebrzmiewa ostatni dźwięk jej niezadowolnienia; niespodzianie znajduję się śród zwykłego szczęścia, nie wiedząc nawet, jak do niego wróciłem. Raz mi się zwierzyła, że wszystkie kobiety, chcąc naciągnąć stojące serce, postępowały w ten sposób, iż kazały mu wybijać wszystkie godziny, półgodziny i kwadranse, przez które przechodziła skazówka dopóty, dopóki nie doszła do godziny miłości. Musiały tak postępować, ażeby nie zepsuć zegaru własnej duszy.

Gdy mię dobra moja Wilhelmina z raju, który mi sama zgotowała, wyrzuci swym dąsem na godziny i dnie całe — to już moja własna wina. Nierozważnie w urządzeniu mojej domowej konstytucyi popełniłem błędy hiszpańskiej. Moja żona i ja tworzymy tylko jedną Izbę i dla tego musi dziać się to, co zwykle w takich wypadkach się dzieje: pierwiastek demokratyczny zdobywa przewagę nad arystokratycznym. Serce kobiece — to rynek ateński — pod cudownem lazurowem niebem miłosne bukiety, wonne owoce południowe, miły wdzięk, dusza, dowcip, uczucie; ale zarazem podstęp, grymasy, zmienność i niewdzięczność. Tam jednak gdzie prawodawstwo domowe podzielono mądrze na dwie Izby, gdzie mąż tworzy Izbę wyższą a żona niższą, tam, jak nieporównanie pięknie wyśpiewał jeden z parów bawarskich, fale demokracyi rozbijają się o skały arystokracyi, na których zbudowany jest tron i pokój.

---

które są tylko przedstawicielami prywatnych, powiększej części osobistych interesów każdej małej grupy wyborców, przyśle do parlamentu inteligencyę, która w przecięciu będzie przedstawiała dokładną opinię całego kraju i bronić jego nie zaś własnych interesów.

Atoni Sygietyński.

RAMUŁTOWIE

J. I. Kraszewskiego.

Wolimy nawet stłumiony dźwięk starego, omszonego dzwonu, niż hałas nowej klekotki, zawieszonej na szyi szkodnego ciołaka; wolimy nawet osłabiony ton starych skrzypiec, niż przykre baręczenie nowej kobzy; wolimy też zawsze głos wielkiego choć zestarzałego talentu, niż zgrzytliwe skrzeczenie świeżych pikulin. Jakkolwiek Kraszewski kołysał najczęściej swoje ideały w kolebce staroszlacheckiej, od czasu do czasu jednak bystrem spojrzeniem sięgał w przyszłość i dostrzegał tworzący się z jej mgławicy świat nowy. Na strunach jego duszy, niby na strunach arfy eolskiej, grały nietylko lekkie powiewy tradycyi, ale i burzliwe prądy odrodzenia. Jest to bowiem instrument doskonalszy, zdolny do wydobycia z siebie najrozmaitszych tonów. To też nie dziwi nas wcale, że on, który idealizował przeżyte typy naszego społeczeństwa, pod wpływem jego nowych natchnień stworzył *Ramułtów*.

Młodzi nasi powieściopisarze, urządzający kocią muzykę za wskrzeszenie Hipatyi w Wilnie, powinniby uważnie przypatrzeć się zapałowi tego starca, który przemawia do swego narodu tak, jak gdyby jego najżywotniejsze drgnienia w swoją pierś wchłonął. Siedemdziesiąt lat ciąży na tem piórze, z pod którego wypłynęły już setki tomów, a jednakże jak ono porusza się żwawo, jak świeżemi tryska myślami! Wzrosłszy śród innych stosunków, przeniknięty innemi ideami, nie zamknął oczu na postęp, jak ci, którzy ledwie je otworzywszy, wzgardliwie przymrużyli; lecz przeciera zamglony wzrok, patrzy, bada, rozeznaje i głosi nowe hasła. Hasłem takiem jest ostatnia jego powieść. Przypadkowo czy umyślnie, Kraszewski uwydatnił myśl jej w rodowodzie bohaterów. Stary Ramułt, posiadacz jednej wioszczyny, miał z pierwszej żony dwoje dzieci, z drugiej, hrabiny, jednego syna. W chwili, w której na scenę wychodzi drzewo ramułtowskie, przedstawia ono taką postać. Z drobnego pnia szlacheckiego wyrosły dwie zdrowe gałęzie: uczciwy, surowy, pracowity, nienawidzący obłudy i jezuityzmu, wolnomyślny Sylwan, oraz zacna i trochę trzpiotowata jego siostra Lelia. Przez zaszczepienie zaś na tym pniu spruchniałej płonki ultramontańsko-arystokratycznej, hrabiny, powstał mięszaniec, który po ojcu odziedziczył szlachetniejsze popędy a po matce lenistwo, lekkomyślność i pańskie upodobania, — Herman. Wypadki i stosunki powieści, w której Sylwan śród intryg „obozu“ hrabiny zdobywa serce córki bogatego obywatela Hanny, jego zaś brat przyrodni serce pięknej i marzycielskiej aktorki Violi, w której stara arystokratka podsuwa swą rękę młodemu najemnikowi w konserwatywnej winnicy — odsłaniają nam moralną wartość tych dwu pierwiastków. Po jednej, „czerwonej“ stronie widzimy gorące serca i dzielne umysły, po drugiej „białej“ samolubstwo i niegodziwość, przykryte płaszczem pobożności. Tam czysty, w ogniu życia przetopiony metal, tu znowu żużle. Na granicy tych dwu światów stoi człowiek-poczwarka, ruda, w którym drobne ziarnka szlachetnego kruszcu tkwią w lichym zwirze — Herman. Nie Kraszewskiego wina, że barwa „czerwona“ w jego powieści jest słabsza, niż „biała“, a raczej czarna, bo rzeczywistość nierówną tym kolorom nadaje u nas siłę. Na wyrobienie pierwszej składały się wieki, na przygotowanie drugiej zaledwie lata. Sylwan to typ dopiero rodzący się, o niepewnych jeszcze kształtach, zato hrabiny lub ich kochankowie Lubicze, chudopachołki, rozdmuchujący całemi piersiami ogień konserwatywny, przy którym swą korzyść upiec mogą — to gatunki dojrzałe. Kraszewski przedstawił ich zgromadzonych około hrabiny w najrozmaitszych postaciach z jednym wszakże rysem wspólnym, który jej kochanek uwydatnia bardzo wymownie. „My idziemy z tradycyami, mamy cóś więcej nad tych, którzy idą z marzeniami ledwie ze snu przebudzeni. Jesteśmy tak pobłażający, że byle karności obozowej stało się zadość, wewnętrznym przekonaniom dajemy wielką swobodę. Nie lękaj się pan, byśmy zbyt ścisłego logicznego związku wymagali między zasadami a życiem... Nie tolerujemy herezyi przeciwko dogmatowi jawnie wyznawanemu, lecz na obyczaje patrzymy przez szpary... Wyrzucają nam nietolerancyę, tak jest, a jeśli idzie o dogmata, nie cierpimy kacerstwa, nie dopuszczamy reform... nie znamy prawdy tylko tę, którą za absolutną wyznajemy, a której nie jesteśmy wynalazcami, ale piastunami. W rzeczach obyczaju, życia, grzechów powszednich — każdy idzie, jak sumienie nakazuje. Znajdziesz pan pomiędzy nami szulerów, pijaków, szalbierzy, łotrów... są to ciury obozowe. Płacą oni gorącą propagandą naszych idej za grzechy, które ich tylko samych brudzą“.

Kraszewski był zawsze apostołem cnót drobnej i średniej szlachty, nieprzyjacielem arystokracyi. Gdybyśmy dla tych jego upodobań, dla jego teoryi społecznej szukali klucza w *Ramułtach*, znaleźlibyśmy go w następujących słowach Hanny: „Najdemokratyczniejsza ze wszystkich szlacht była polska,.. to, czem ona się stała, winniśmy sprowadzonym z zagranicy ideom... Po francusku i niemiecku nawrócono nas na nową wiarę, która nigdy naszą nie była...“ Prawda to? W odniesieniu do przeszłości — wątpliwa. A nawet gdyby potrzeba było koniecznie wyrazić jakieś zdanie skrajne, powiedzielibyśmy raczej wprost przeciwnie: najarystokratyczniejszą w Europie była szlachta polska, po francusku i po niemiecku nawrócono nas na demokratyczną wiarę, która nigdy naszą nie była. Może Kraszewski nie chybia, gdy wierzy, że Rumułtowie są pniem, który puszcza najzdrowsze konary; że średnia szlachta dostarczy narodowi najsilniejszych demokratycznych żywiołów; ale żeby ona w przeszłości najdemokratyczniejszą w Europie być miała — bez łudzenia się twierdzić niepodobna. Nie podpieramy w tej chwili zdania naszego dowodami, gdyż na fakt ten rzucą nam światło dwie broszury p. W. Smoleńskiego, nad któremi później zstrzymamy uwagę czytelnika.

Mówimy o powieści, a nie powiedzieliśmy jeszcze ani słowa o jej artyzmie. Jest ona obrazem skreślonym bardzo gorąco i przypomina utwory Kraszewskiego z najżywszem tętnem. Typy skończone w rzeczywistości występują również skończone w jej odbiciu. Szkoda tylko, że wątek opowiadania nieco nad potrzebę się przewleka. Skutkiem tego po przeczytaniu powieści doznajemy smaku wonnych i ożywczych ziółek, które w naparze przeciągnęły. Bądź co bądź jest to utwór, który chętnie włożylibyśmy w wasze, czytelnicy, ręce.

A. S.

LEOPOLITANA.

III.

Dziwić Was to musi z pewnością, że powołany do zdawania sprawy z współczesnego ruchu w naszej dzielnicy, w dwóch już listach polityczne zagadnienia za wyłączny temat mej pogadanki obieram, pomijając zresztą ruch na polu naukowem, piśmienniczem i artystycznem, — słowem wszelkie inne objawy naszego społecznego życia. Ale bo też nie znam kraju, gdzieby tętno polityczne biło —nie powiem równie silnie, ale równie hałaśliwie. Odgłos jego rozlega się po kraju wszerz i wzdłuż, przeszywając powietrze — zresztą pełne ciszy, snu i nudy. Jest on jak ów gwar jarmarczny, o którym mówi przysłowie: troje gęsi dwie niewieście — już gotowy jarmark w mieście! Jest on jak ów krzykliwy klarnet w źle dobranej orkiestrze, którego dźwięk przeraźliwy zagłusza skrzypki, basy i cymbały, a wyrywa się jaskrawo z ogólnej *harmideronii*, ażeby ci nieznośnym świdrem wśrubować się w ucho.

Partytura tej krzykliwej piszczałki nie jest wcale śpiewem płynącym z głębi duszy naszego społeczeństwa, które na wpół senne przysłuchuje się tej kakofonii. Ociężała skroń jego chyli się w prawo i w lewo, — a tu i owdzie wyrywa się nawet z piersi słuchaczów westchnienie. Jest to po prostu skutek drzemki, lecz kapelmistrze nasi, rozradowani tymi objawami, upewniają sami siebie, że to śpiew ich klarnetu takim zachwytem rozkołysał umysły, i że spioch nasz społeczny, kiwając głową, takt wybija ich muzyce. Nie potrzebuję Wam jednakże mówić, iż tak nie jest wcale i że w piersi naszego społeczeństwa zupełnie insze grają motywy. Przywódcy nasi, nasi klarneciści — a do tych zaliczam sejm nasz i całą naszą prasę — nie chcą, czy nie umieją zapuszczać badawczego spojrzenia w otchłanie, kędy drzemią zagadnienia, których rozwiązanie stoi na pierszem miejscu porządku dziennego naszych powinności. Klarnet dzwoni i dzwo-

ni, coraz to nową głosząc nam piosenkę, — a jednak zaprawdę, ani kwestya, czy laska marszałkowska ma być udziałem plebejusza, czy też potomka hetmańskiego rodu, ani spór pomiędzy grażdanką a kirylicą, ani tytańskie walki stańczyków z tromtadratami nie streszczają w sobie owego zagadnienia, którego rozwiązanie narzuciły losy naszemu pokoleniu; — ale je streszcza ryk *Byczuli*, którą na postronku z obory kmiotka wywleka lichwiarz lub egzekutor podatkowy, — ale streszczają rozpaczliwe łzy rodziny grabionego wobec doli bez jutra, — ale je streszcza znękanie tych biedaków i ten kieliszek wódki, którą starają się potem zalać gryzącego robaka.

Zaiste dar swobody był dla tego, do używania dóbr jej nieprzygotowanego ludu prawdziwą Dejaniry koszulą. Zmienione stosunki postawiły go wobec konieczności walki o byt bez rady i opieki. Wolność zaciągania długów przy zupełnej bezradności, tudzież nieograniczona swoboda dzielenia gruntów przy dziecinnej niemal lekkomyślności, rzuciły go bez obrony na pastwę niemych wyzyskiwaczy. Nieuniknionym wynik tego starcia był łatwym do przewidzenia: — pociągnęło ono za sobą wzrost nędzy w warstwach naszego wiejskiego ludu, tudzież idący w ślad za nią moralny jego, a nawet — fizyczny upadek. Skrzętne statystyczne dane przerażające nam pod tym względem robią odkrycia. Wykazują one, że w przeciągu jednego lat dziesiątka upiory lichwiarskie kilkanaście tysięcy rodzin kmiecych wywłaszczyły z mienia, — że w obecnej chwili innych kilkanaście tysięcy gospodarstw włościańskich prawdopodobnie ten sam los czeka,— że wreszcie skutkiem powszechnej nędzy nieznana u nas dawniej emigracya chłopska co roku niemal wzrasta, a wzmagające się z dniem każdym włóczęgowstwo tak straszliwe przybiera rozmiary, że je dziś już jako jedną z stałych a ciężkich plag krajowych uważać należy. Nie mniej zastraszającemi są odkrycia kryminalistycznej i zdrowotnej statystyki, stwierdzające cyframi moralny i fizyczny upadek naszego wiejskiego ludu, pogrążonego w nędzy i ciemnocie, a popadłego w pijaństwo i demoralizacyę. Mianowicie wykazuje statystyka liczbami, że tyfus, błonica, tudzież inne niegminne słabości z większą u nas w ostatnich latach niż dawniej występują gwałtownością, grasując szczególniej niebezpiecznie pomiędzy wiejskim, źle żywionym ludem, — że nieznane u nas dawniej choroby płciowe toczą zjadliwym rakiem wsie całe — ba nawet! całe powiaty, — że wreszcie skutkiem opłakanych panujących u nas stosunków zdrowotnych i materyalnych obniżył się nawet wzrost mieszkańców naszej dzielnicy, którzy częstokroć nie dorastają już nawet karlęcej u nas wojskowej miary, i pod względem wzrostu pomiędzy ludnością austro-węgierskiego państwa ostatnie, a pomiędzy ludnością całej kuli ziemskiej przedostatnie (zaraz przed chińczykami) zajmują miejsce.

O tem wszystkiem zdają się nie wiedzieć wcale nasi klarneciści, którzy leżąc *sub tegmine fagi*, w stronę wiedeńskiej zapatrzeni Mekki, czułe wysyłają gruchania ku naddunajskiej Dafnidzie lub też rozpamiętywając „łaski“ Dyoniza-Sotera w słodkiem toną lenistwie. A jednak przyznać to muszę, była w naszem konstytucyjnem życiu chwila, kiedy się zdawało, że Galicya, porzuciwszy manowce wysokiej polityki i „wydrwiczynów“, poznała całą grozę swego położenia i szczerze a z zapałem zamyślała przystąpić do rozwiązania tych, które przed nią stanęły, zagadnień. Powstały liczne stowarzyszenia, które organiczną pracę około materyalnego i moralnego podniesienia wiejskiego ludu wypisały na swoim sztandarze, — posypały się w sejmie liczne wnioski dążące do reform społecznych, a stronnictwa nasze wszelkich odcieni uważały szlachetne współzawodnictwo na tem wdzięcznem polu jako racyę swego bytu, jako pierwszy punkt swojego programu. Nie należy zapomnieć, że nawet i partya krakowska, na wskróś zresztą konserwatywna, porwana ogólnym prądem, hasło „społecznej reformy“ w zakres swego wciągnęła programu, i że bractwo stańczyków w sejmie reprezentowane, obiecującą nazwę „klubu reformy“ przybrało.

Aliści niestety szlachetny zapał ten nie trwał długo. Centralistyczne rządy wiedeńskie, pragnąc ukrócić władzę i znaczenie krajowych sejmów, poczęły im wymierzać tak krótki czas do obrady, że takowy starczył zaledwie na uchwalenie budżetu, a do podjęcia innej pracy nie stawało już sposobnej chwili. Zresztą — jak to u nas zwykle bywa — ostygła niebawem i gorąca zrazu dobra wola. Stronnictwo krakowskie, doszedłszy do władzy, i pragnąc ją bądź co bądź zatrzymać w swej dłoni, sprzeniewierzyło się swemu programowi, a schlebiając partykularnym interesom szlacheckiego stanu, jęło tajemnemi ustępstwami jednać sobie słabsze umysły. Zaniechaną została reforma gminna, a zatrzymanym dawny *status quo*, wedle którego stoją dziś w każdej galicyjskiej wsi obok siebie dwór i gromada, jako dwie odrębne gminy, — dwaj wrogo na siebie patrzący sąsiedzi. Upadły w sejmie wnioski dążące do reformy ustawy drogowej, która mianowicie w części wschodniej naszego kraju uciążliwą jest dla chłopa, gdyż niemal całe brzemię konkurencyjnych ciężarów na barki gmin włościańskich stacza. Uchylone zostały postępowe projekta, zmierzające do godziwego rozwiązania propinacyjnego przywileju, — a uchwaloną natomiast na wniosek ś. p. Krzeczunowicza ustawa, prawdziwy palestrancki kruczek, mocą którego przyznano właścicielom używanie tego przywileju przez lat dziesięć,— po upływie których... zapewniono im dalsze, wieczyste jego używanie, stanowiąc, iż w każdej wsi pozostanie po wieczne czasy jedna karczma własnością dziedzica, — że mu w tej karczmie po wieczne czasy prawo szynkowania gorących trunków przysłużać będzie, — i że nakoniec obok istniejących nowych już karczem budować nie wolno, tak że gminy chcąc korzystać z odstąpionego im wrzekomo propinacyjnego przywileju, po wieczne czasy zmuszone będą brać w arendę karczmy od dzisiejszych tychże karczem właścicieli. Nieopoparta należycie przez sejm ani przez ogół narodu, osłabła też wobec tego nowego zwrotu rzeczy i działalność pojedyńczych stowarzyszeń, założonych w celu podniesienia oświaty, moralności i dobrobytu kmiecego stanu; — a z całej naszej organicznej pracy w tym kierunku, ze wszystkich tak niegdyś szumnie zapowiadanych reform społecznych pozostały w stanie czynnym naszego bilansu, tylko ustawa przeciwko pijaństwu, nigdy należycie nie przestrzegana, a wadliwem rozwiązaniem propinacyjnego przywileju z góry już sparaliżowana, oraz ustawa przeciwko lichwie, dzieło ś. p. Rydzowskiego, która jednak dotychczas wyłącznie przeciw drobnym rybkom była stosowaną, nie dotykając wcale takich ludojadów i wielorybów jak nasze c. k. uprzywilejowane lichwiarskie banki, które przywilejem swym osłonięte, obdzieranie chłopa ze skóry *en gros* prowadzą.

Takim jest w krótkich słowach bilans prac naszych na polu reform spółczesnych; — w przyszłym liście opowiem Wam jak inni na tej przez nas w ugor puszczonej roli w tym czasie pracowali.

Junius.

TAJEMNICE ŻYCIA DUSZY.

IV.

W ostatecznym wypadku badania i zestawienia faktów osiągamy przekonanie, że nie rozumiemy natury i nie umiemy jej sobie wytłomaczyć, albo że trzeba przypuścić istnienie duszy. Przypuszczenie to będzie koroną naszego wniosku, bośmy tego wniosku bynajmniej nie mieli na względzie. Skoro bowiem materya nie jest w stanie— według naszego rozumienia rzeczy—posiadać pamięci wrażeń i wogóle wszystkich na nią wpływów zewnętrznych, które ze stanowiska psychologicznego są niczem innem, jak szeregiem wrażeń, to — jeżeli tem niemniej istnieje pamięć—może zdolność pamięci posiada dusza. Ale, ponieważ zgoła nie znamy własności duszy, ta ostatnia jest dla nas tylko symbolem, ułatwiającym dowodzenie, pozwalającym rozumieć (?) niezrozumiałe. Nie należy tylko nadawać wyrazowi *„rozumieć“* tego znaczenie, jakieby wprawdzie było bardzo pożądane, ale którego w danym razie wyraz ów wcale nie posiada. Jeżeli powiadam, że rozumiem to lub owo, nie znaczy nic więcej, jak tylko, że to lub owo przedstawia się mojej myśli, jako coś zwykłego, spodziewanego, dającego się przewidywać, odbywającego się w znany dla mnie sposób. Stąd rozumiemy dobrze fakty pewnej kategoryi, jeżeli mamy na względzie ich cechy *zewnętrzne*, odróżniające je od faktów innych kategoryj i widoczny pomiędzy nimi stały przyczynowy związek. Rozumieć istotę, czyli treść zjawisk, jakkolwiek jest rzeczą pożądaną, jest zarazem niemożebną. Stosuje się to nietylko do objawów psychologicznych, ale i do wszystkich innych zjawisk.

Chemik widzi przyczyny i skutki, ale czy może powiedzieć, od czego one zależą? A jak jeszcze ta obszerna i głęboka nauka jest nieskończenie daleka od posiadania prawdy, mamy na to świeże dowody. Dwa lata temu chemik angielski Lockyer udo-

wodnił, że pewne ciała nieorganiczne, uważane za pierwiastkowe, wśród pewnych warunków mogą tracić swą indywidualność i stawać się innemi, uważanemi dotychczas również za pierwiastkowe, ciałami nieorganicznemi. Odkrycie to, dotyczące kilku jedynie ciał nieorganicznych, jest dopiero pierwszym w tym kierunku krokiem, ale następne są już konieczne, a z czasem oczekiwać możemy odkrycia owego kamienia filozoficznego, który tak kiedyś niepokoił umysły, — którego poszukiwania były pierwszym krokiem chemii i bodaj czy nie będą ostatnim.

I nie tylko chemia, wszystkie inne nauki o przyrodzie mogą się poszczycić znajomością jej o tyle tylko, o ile ona nam się przedstawia, gdyż o rzeczach samych w sobie nie możemy mieć wyobrażenia. Tak w fizyce znane są zjawiska i ich (przypuszczalne) przyczyny, o ile o nich sądzimy ze świadectwa zmysłów. Lecz zmysły nasze, jakkolwiek im zawdzięczamy wszystko, co wiemy o świecie zewnętrznym, zawodzą. Opierając się na nich, fizyka ustaliła istnienie kilku sił: ciążenia, światła, ciepła, dźwięku, elektryczności, magnetyzmu i galwanizmu. Fakty, polegające na metodzie sprawdzania prawd jednych przez drugie, przekonały, że te różne siły są jedną, jedyną, bo każda z nich może się przemienić we wszelką inną. Prowadzi to do przekonania, że o istocie siły nic a nic nie wiemy, że skutki jej działania przestawiają się nam w tej lub innej postaci. Podobnie rzecz się ma i co do trzech stanów materyi. Przypuszczano, że każda jej cząstka może się znajdować albo w stanie stałym, albo płynnym albo wreszcie lotnym. Crookes udowodnił, że jest jeszcze czwarty, stan materyi promienistej, świecącej, bardziej rozrzedzonej aniżeli gazy.

Toż samo i w stosunku do biologii. Cóż nam biologia może powiedzieć o życiu? To tylko, że ono objawia się przez ruch, ciepło, czasem fosforescencyę, procesy chemiczne i jakieś osobliwe procesy organiczne, — nic nadto. Co jest życie? co stanowi jego istotę? jak i dlaczego powstaje, jak i dlaczego się kończy — nic o tem nie wiemy [1]). Toż samo i w psychologii. Czem jest dusza? o tem także nie wiemy. Nasza znajomość spraw psychicznych ogranicza się do rozumienia form dostępnych naszym zmysłom, które, skutkiem odróżniania jednych zjawisk od drugich, przyznajemy objawom psychicznym. Chociaż i tu, w pospolitem rozumieniu, panuje zupełny chaos, dowodzący pierwotnego (naukowego) stanu myśli. Tak np. nieulega wątpliwości, że nietylko człowiek, ale i wszystkie zwierzęta, w mniejszym lub większym stopniu, stosownie do szczebla rozwoju, posiadają pewne organa psychiczne — czucie, myśl i wolę. A przecież przywłaszczamy sobie tylko samym przywilej istot, obdarzonych zdolnościami psychicznemi — przywilej posiadania duszy, popierając go różnymi a licznymi argumentami, w liczbie których najgłówniejszą i najważniejszą rolę gra mowa. Zapominamy przytem, że na mocy dowodów, zaczerpniętych zarówno z nauki Darwina, jak i jego przeciwników, w tym wypadku Maksa Millera, opierającego się wyłącznie na objawach językowych — spotykamy się wciąż z jasną prawdą, że i ta grupa faktów przedstawia nam różne stopnie rozwoju jednej i tej samej zdolności: mowę ruchów (gesta, mimika), głosy z widocznym charakterem odruchów, śpiew, mowę wreszcie, składającą się początkowo z wyrazów mechanicznie składanych (aglutynacya, zespolenie), później już mowę artykułowaną — mowy spółczesnych indoeuropejskich ludów. Zwierzęta mówią bez wyrazów; człowiek posiada mowę, w skład której wchodzą wszystkie pierwiastki zwierzęce (to jest ruchy, głosy, śpiew) i na koniec wyrazy. To dało powód M. Millerowi do odrzucenia nauki Darwina o rozwoju. Trudno, według niego, przyznać stopniowy rozwój, jeżeli brak stopni, a że istotnie brakuje pośredniego ogniwa, łączącego mowę zwierząt z mową człowieka, więc ta ostatnia nie jest wynikiem rozwoju, lecz wypadkiem niezrozumiałym. Człowiek, w powyższym wywodzie, nie może być uważany za ostateczny wytwór rozwoju świata organicznego, za potomka zwierzęcego świata. A jednak, jeżeli zapomnimy na chwilę o jego mowie, jest on niewątpliwie ostatnim (dotychczas) stopniem procesów biologicznych na ziemi, to jest najwyższym.

Podobnie też ma się rzecz i z cechami psychologicznemi w ogóle. Zwierzęta czują: cieszą się i smucą, radują i gniewają, myślą i chcą. Uczą tego fakty. Jednakże istnieje pogląd, wypowiedziany przez Lewesa [1]), dowodzący, że podobne wyrażenia są niezgodne z rzeczywistością, że zależą od antropomorfizmu, bo opierają się na przypuszczeniu, że pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem niema zgoła różnicy. Zapewne, ustrój zwierząt różni się wielce od ustroju człowieka, ale jeżeli jest to fakt, jeżeli o zwierzętach nie podobna sądzić z naszego ludzkiego stanowiska, ze stanowiska antropomorfizmu, więc i naodwrót, nie należałoby sądzić o człowieku, opierając się na danych, zaczerpniętych z życia zwierząt, a przeto należy unikać *zoomorfizmu* w psychologii, gdyż przedmioty porównywać się nie dają. Lewes i ci wszyscy, którzy głoszą jednakowe z nim zasady, nie widzą jednakże tych sprzeczności, odbierających ostatecznie wszelką powagę ich nauce.

Opłakany ten stan, w jakim znajduje się psychologia, trudności, które się nasuwają przy zestawieniu tak różnych grup zjawisk, jak psychiczne, właściwe człowiekowi i zwierzętom, oraz sprzeczności, jakie na tej drodze natrafiamy, nie powinny wszakże być przeszkodą, powstrzymującą nas od użycia metody. Obalenie błędnych mniemań i usunięcie ich z drogi jest rezultatem niemałej wagi. Poznać dobrze fałsz — jest to zrobić już krok ku prawdzie. Poglądy szerokie, obejmujące wielkie widnokręgi, są jedyną widownią dla śmiałych i przytomnych umysłów, tembardziej, że jak uczą nas fakty, tylko przez porównanie ze sobą możliwie najliczniejszych szczegółów, prawda, a bodaj nawet tylko prostsza do niej droga najłatwiej się zdobywa.

Celem poprzednich uwag moich, jakkolwiek zdać by się mogły zbyt luźne i bez koniecznego związku z bezpośrednim przedmiotem pracy niniejszej, było udowodnienie, a przynajmniej zamiar udowodnienia, że wszystkie nauki znajdują się w podobnem do psychologii położeniu, że przeto zarzuty, przeciw niej skierowane w sposób wyłącznie dla niej jednej niekorzystny, są nieuzasadnione. A teraz, wracając do przedmiotu niniejszej rozprawy, zastanówmy się nad dalszymi wnioskami, do których prowadzi nas rozumowanie oparte na faktach.

Przedewszystkiem nad tem: *w jaki sposób organizm zapamiętywa zewnętrzne nań wpływy?* Wpływy te, ze stanowiska psychologicznego, są wrażeniami. Wrażenie odbywa się przez pracę cząstek. Praca ta jest przyczyną ich zużycia się. Zniszczone cząstki ustępują miejsce innym nowym. Następuje wreszcie asymilacya, upodobnienie nowego do starego. Lecz samo to upodobnienie, które przypuszczamy *a priori*, jako konieczne, i które sprawdzone zostało *a posteriori*, jako faktyczne, jest również niezbadaną tajemnicą. Cząstki nowe zastępują miejsce już zużytych — starych. Najprzód zostają zużyte te ostatnie, później dopiero ich miejsce zastępują nowe, upodobniają się do starych zużytych, których (nie należy o tem zapominać) już wtedy niema, które już opuściły swoje stanowisko, wypełniwszy swą czynność. Spotykamy się tu znowu z niezwalczonemi (przynajmniej dotychczas) trudnościami. W jaki sposób, mniej więcej dostępny naszemu rozumieniu, stać się może coś podobnego? Zużyte cząstki już nie istnieją, już na drodze dysasymilacyi, przemiany odwrotnej, uległy rozkładowi, przestały być tem, czem były przed chwilą. Nowe zaś, które już zastają gotowe dla siebie miejsce, nie są tem, czem były już obumarłe, staną się bowiem tem dopiero po niejakim czasie na drodze upodobnienia. Jakże mogłyby przybrać wszystkie cechy właściwe swym poprzedniczkom? jakże mogłyby odziedziczyć ich własności, nie pozostając z niemi w żadnym bezpośrednim stosunku? Nawet drogi, po których przebiegają wraz z krwią po organizmie naszym, są różne: nowe pożywne cząstki przychodzą do kończyn ciała przez tętnice; stare zużyte wracają z krwią żylną, przez żyły — nawet się spotkać z sobą nie mogą. Proces ten przedstawia się naszemu umysłowi najzupełniej tajemniczo.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Feliks Bogacki.

TOMASZ CARLYLE.

Nad grobem zwykłych śmiertelników mówca czerpie życiowe szczegóły zmarłego z ust krewnych lub znajomych i zszywa z nich pochwalny całun. Przy trumnie słynnego człowieka przemawiamy przygotowani, jakbyśmy z nieboszczykiem wspólnie

---

[1]) W szczegółach i tu zasadnicze sprzeczności: życie wszelkiego organizmu polega na ciągłem zużywaniu się cząstek i ich odnawianiu przez pożywienie. W ten sposób pojęte życie musiałoby być wieczne. Organizm stracił coś, następnie stratę wynagrodził, powinien być nieśmiertelny, a jednak umiera. Dlaczego? Przecież winien żyć wiecznie, a więc i życie nie jest wcale tem, co o niem myślimy, lecz czemś tajemniczem, o czem nie mamy jeszcze wyobrażenia.

[1]) *Te Study of Psychology*, 1879, r. VIII, oddział 1-szy o „Psychologii zwierząt.“

pędzili życie. Krytyki jego dzieł i same dzieła, jeśli był pisarzem, liczne bijografie i głośniejsze fakta z jego życia znane są powszechnie.

Kto dążył do prawdy w nauce i życiu, kto z kazalnicy wielkiego kościoła ludzkości, otwartego dla wszystkich, nieustraszenie głosił, że jedyną prawdziwą *ecclesia militans* w dzisiejszej epoce jest literatura i prasa — zasłużył na sympatyę i długą pamięć wszystkich wyznawców owej religii świata. Zasłużył na nią Tomasz Carlyle.

Życie, działalność wszystkich znakomitych ludzi stwierdza, że wrażenia i pojęcia, jakie odciskały się i tworzyły w duszy młodego bohatera przyszłości, stanowią nietylko podstawę, ale wyznaczają kierunek następnym jego pracom i czynom. Życie Carlyle'a również prawdę tę stwierdza. W jego pracy *Life of Schiller* znajdujemy już zasadnicze poglądy i zarody późniejszych myśli, któremi przetkał swoją *The French revolution, a history* i *History of Friederich II called Frederick the Great* wydaną w 6 tomach (1858—65 r.). Studyum nad Schillerem rozbudziło w Carlyle'u ową wielką cześć dla bohaterów, która następnie w książce pod tytułem: *On heroes and hero-worship* (O bohaterach i czci dla nich 1840), przeistoczyła się u niego na historyozoficzny systemat. Zasadniczą myśl tego systematu znajdujemy w *Życiu Schillera:* ludzie genialni, *the men of genius*, bohaterowie są właściwymi twórcami dziejów; oni to porywają za sobą masy do nowych myśli i nowych stosunków, oni są przodownikami postępu, podtrzymują szlachetne pierwiastki ludzkości, chronią je od zastoju i zbrukania. Idealny ten pogląd musiał w myślicielu szkockim, który coraz wyłączniej oddawał się badaniom historycznym, wytworzyć pewną jednostronność sądów. Równocześnie musiał też zawieść nadzieje, pokładane w nim jako w praktycznym polityku. Niepospolity talent krasomówczy Carlyle'a w sprawach literackich nie dopisywał mu w parlamencie. Bo też i poglądy jego nie zgadzały się z programem żadnego stronnictwa. W niektórych sprawach przemawiał wstecznie, w innych występował jako socyalny demokrata. Dodać należy, że podobne sprzeczności zauważyć można i w jego historyozofii. Cicha pracownia jego była pewnego rodzaju obserwatoryum, z której przyglądał się różnym stronnictwom politycznym bez względu na ich barwy, przypominając każdemu, że powinno mieć zawsze na celu: dobro ludzkości i cywilizacyjny jej rozwój. Był to właśnie *ceterum censeo* nowoczesnego Katona, który po wyjściu na świat jego *Sartor resartus*, dzieła pełnego druzgocącej siły krytycznej, pozyskał słuszny przydomek „wielkiego cenzora wieku.“

Pod wieloma względami Carlyle przypominał szlachetnego rzymianina, który moralnie upadającemu Rzymowi stawiał za przykład starego republikanina surowych obyczajów. Prosty i prawdziwy *pater familias*, surowy względem siebie, pełen ostrego i zdrowego dowcipu, „był to — według słów Hunta — jakby z grobu powstały stary purytanin, oświecony niemiecką filozofią, własnem głębokiem rozmyślaniem i studyami“. Carlyle był moralistą w szlachetnem tego słowa znaczeniu. W powszechnej moralności widział on miarę ludzkiego postępu; za rdzeń jej uważał prawdę i szczerość względem siebie i innych—szczerość zaś względem siebie wedle Carlyle'a, polegać winna na usilnem rozwijaniu wrodzonych darów.

Była to jego ewangelia błogosławieństwa pracy, *the gospel of work*. Za źródło ziemskiej szczęśliwości uważał pracę zgodną z powołaniem człowieka. Głęboko gardził jawnym występkiem, ale bardziej jeszcze nienawidził udanej moralności w państwie i kościele, przebiegłej praderyi, religijnej obłudy i nieuzasadnionej dumy. W świecie niskich, samolubnych pożądań był niejako żywą przestrogą, drogowskazem do odległych ideałów ludzkości. W świecie takim serce jego z konieczności częściej karmiło się nienawiścią niż miłością; lecz źródłem pierwszej — była ostatnia. Miłość tę najpiękniej ujawnił w dziejopisarstwie. Historyę uważał jako korzeń wiedzy, którego soki udzielają się wszystkim jej gałęziom i konarom; jest ona — według niego — „przez doświadczenie działającą filozofią“ W przedstawieniu rzeczy idealista Carlyle stawał się realistą, — prawdziwym realistą, rysującym wypadki i postacie dziejowe ze sztuką powieściopisarza. Był on godnym współzawodnikiem Macaulaya. Kreśląc dzieje francuskiej rewolucyi, umiał znakomicie ustosunkować jej światła i cienie, a w swych *Letters and speeches of Oliver Cromwell* wyrzeźbił postać wielkiemu przywódcy purytańskiej republiki Anglii. We wszystkich swych uczuciach i sądach był on entuzyastą a niepiękną córą entuzyazmu jest jednostronność. Lekceważył też wartość teraźniejszości a błędy jej tak go zbałamuciły, że o cnotach zapomniał. Natomiast cześć dla bohaterów popchnęła go do przeceniania przeszłości. Dawne charaktery otoczył tak niezwykłą masą idealnego światła, że wobec niej naturalny obraz dzisiejszych czasów ciemne i karłowate przybrać musiał zarysy. Nie ma cnoty, która by nie posiadała strony odwrotnej; idealizm właśnie, wzlatując zbyt wysoko, potrzebuje koniecznie realistycznej przeciwwagi, której brakowało szlachetnemu myślicielowi. Panowanie utylitaryzmu, którego Carlyle tak namiętnym był przeciwnikiem, zepchnęło go naturalnym rzutem w ostateczność przeciwległą.

I. P.

Z ŻYCIA SERBÓW ŁUŻYCKICH.

Działalność Towarzystwa literackiego „Maćicy Serbskiej“. — Czasopisma łużyckie. — Towarzystwo do wydawania książek religijnych dla ludu. — Brak nauczycieli i księży łużyckich. — Dar J. I. Kraszewskiego. — Projekty p. Parczewskiego urzeczywistnione: a) utworzenie przy Tow. Maćicy Serbskiej oddziału dla dolno-łużyczan, b) zawiązanie w Budyszynie towarzystwa pomocy naukowej. — Kalendarz dolnołużycki.

W sprawie podtrzymania języka i narodowości słowiańskiej serbów łużyckich niemałe zasługi położyło towarzystwo literackie p. n. *Maćica Serbska*. Założone w 1847 r. z główną siedzibą w Budyszynie, wydając stale swój *Czasopis*, stanowi kółko inteligentnych i obywatelskiemi dążnościami ożywionych mężów, którzy jako główny cel działalności wytknęli sobie szerzenie między ludem oświaty w języku ojczystym. Wiadomo, że ludność ta, wynosząca dziś około 160,000, mówi dwoma różniącemi się od siebie narzeczami: górno- i dolno łużyckiem. Górni łużyczanie, mieszkający w królestwie saskiem, z głównem miastem Budyszynem, dochodzą liczbą do 100,000. Reszta ludności, t. j. od 50 do 60,000, przypada na dolnych łużyczan, zamieszkujących częścią w królestwie saskiem, częścią w królestwie pruskiem. Działalność literacka powyższego towarzystwa rozwijała się dotychczas głównie w narzeczu *górno-łużyckiem*; od roku zaś zeszłego (1880) powstał w łonie tegoż towarzystwa oddział, mający za zadanie rozszerzenie działalności wydawniczej i dla pożytku dolnych łużyczan w ich własnem narzeczu.

Oprócz książek ludowych, staraniem tego towarzystwa drukowanych, ruch piśmienniczy wśród serbów łużyckich ogranicza się tylko do kilku czasopism w narzeczu górno-łużyckiem. W r. 1842 zaczęto wydawać gazetę polityczną *Tydźenske Nowiny*, przemianowaną następnie na *Serbske Nowiny*, gazetę dotąd wychodzącą. Z kolei powstały: czasopismo religijne dla ewangelików, założone w r. 1354, pod tytułem *Missionski Posoł*, miesięcznik beletrystyczno-literacki ilustrowany, wychodzący od r. 1860 p. n. *Łužičan*, nadto od r. 1877 *Lipa serbska*. W narzeczu zaś dolno-łużyckiem wychodzi tylko jedno pismo p. n. *Bramborski serbski Casnik* od r. 1848.

Niezależnie od tego, wcelu dostarczania ludowi książek religijnych powstały w r. 1862 dwa towarzystwa religijne: jedno ewangelickie (evangelske serbske knihowne towar'estwo) i drugie katolickie (towar'estwo ss. Cyrilla a Methodija), ostatnie wydające od r. 1863 dwutygodnik p. n. *Katholski Posoł* [1]).

Pomimo jednak gorliwości towarzystwa *Maćicy Serbskiej* około krzewienia światła wśród łużyczan, przy nader szczupłej liczbie zamożnych obywateli, dotychczas liczba ukształconych łużyczan jest bardzo ograniczona, tak, że nie wystarcza na obsadzenie posad nauczycielskich i duchownych krajowcami (wogóle posad duchownych przeszło 100, nauczycielskich 150). Wskutek czego niektóre parafie i szkółki wśród wiejskiej ludności łużyckiej posiadają księży i nauczycieli niemców.

Dla zaradzenia choć w części niepomyślnemu stanowi rzeczy, Kraszewski w roku swego jubileuszu przesłał na ręce Towarzystwa Maćicy Serbskiej do Budyszyna 2,000 marek z przeznaczeniem na utworzenie stypendyum przy temże towarzystwie dla ucznia gimnazyum, serbo-łużyczanina, odznaczającego się postępami w języku serbskim.

Jednocześnie prawie w tym samym celu p. A. Parczewski, adwokat z Kalisza, przesłał Towarzystwu Serbskiej Maćicy projekt założenia *Towarzystwa pomocy naukowej* dla serbów łużyckich, stawiając za przykład pożyteczną działalność podobnego towarzystwa poznańskiego, jako też towarzystwa cieszyńskiego. Projekt ten na zebraniu Towarzystwa Maćicy Serbskiej 31 marca r. z. został jednomyślnie gorąco przyjęty; wkrótce ułożono ustawę, zawartą w 21 paragrafach, i 19 maja wybrano do zarządu nowego towarzystwa następujących członków: referendarza Mütterleina jako prezesa (przedsyda), redaktora Smolre'a (prezesa Tow. Mać. Serb.) jako zastępcę (namestnik), ks. Hórnika jako sekretarza (pismawjedźer') i aptekarza, Miersza jako skarbnika (pokładnik). Utworzone towarzystwo pod nazwą *Towar'estwo pomocy za studowacych serbów* z siedzibą (sydło) w Budyszynie, ma na celu niesienie pieniężnej

---

[1]) W braku czcionki *r* z akcentem, równającego się naszemu *rz*, zastępujemy ją *r'*.

pomocy młodzieży serbskiej (górno lub dolno-łużyckiej bez różnicy), sposobiącej się w seminaryach, gimnazyach lub uniwersytetach do stanu nauczycielskiego, kaznodziejskiego, obrończego lub lekarskiego. Członkowie towarzystwa dzielą się na zwyczajnych (rjadnych), którymi mogą być łużyczanie, w cesarstwie niemieckiem zamieszkali; nadzwyczajnych (wurjadnych), do których się liczą cudzoziemcy obu płci; i honorowych (czestnych sobustawow), którymi mogą zostać tylko ci, którzy położyli znaczniejsze zasługi dla towarzystwa. Składka roczna od każdego z członków dwu pierwszych kategoryj wynosi 1 markę. Wnoszący jednorazowo 100 marek zostaje członkiem wolnym od opłat corocznych. W lipcu r. z. ustawa tego towarzystwa uzyskała zatwierdzenie władzy miejscowej (das königlische Amstgericht in Bautzen), a jednocześnie towarzystwo zapisane do regestru towarzystw miejscowych pod urzędową nazwą *Verein zur Unterstützung studirenden Wenden.*

Wiadomość o nowo powstałem towarzystwie z radością w obu Łużycach została powitaną i odrazu obudziła chęć czynnego poparcia jego celów: nie tylko uczący się, ale mieszczanie i wieśniacy pospieszyli z zapisywaniem się na członków tyle pożytecznej dla rozwoju narodowego instytucyi.

Drugi p. Parczewskiego projekt utworzenia przy Towarzystwie Maćicy Serbskiej *oddziału dla dolno łużyczan*, również przyjęty został przez rzeczone Towarzystwo i w czyn wprowadzony. Na zarządzającego (pr'edsedar') tym oddziałem wybrany został członek Towarzystwa Maćicy Serbskiej ks. Tesznar', mieszkający w Niże. Tym sposobem towarzystwo przyjęło na się obowiązek wydawania książek ludowych i w narzeczu dolno-łużyckiem, a każdy dolno-łużyczanin, zostający członkiem towarzystwa, za jednę markę rocznej składki otrzymywać będzie książki w swym narzeczu nakładem tegoż towarzystwa. Działalność swą w tym kierunku objawił zaraz świeżo utworzony oddział towarzystwa ogłoszeniem nagrody 60 marek za napisanie najlepszej książki ludowej do czytania (cytanka) w narzeczu dolno-łużyckiem. Jak sądzić można z kilku liczb, potrzebę tego oddziału dla Dolnych Łużyc umiano ocenić: w kilka bowiem miesięcy po utworzeniu oddziału (do końca sierpnia r. z.) liczył on członków 157, pomiędzy którymi 107 dolno-łużyczan, 40 górno-łużyczan, 9 polaków i 1 czecha.

W roku zeszłym wyszedł w Budyszynie pierwszy kalendarz w narzeczu dolno-łużyckiem nakładem p. A. Parczewskiego. Na rok bieżący również otrzymał lud dolnołużycki z tejże ręki podobny podarek. Kalendarz pod nagłówkiem *Pratyja za dolnołużyskich Serbow* na leto 1881, wydrukowany w Budyszynie, w narzeczu dolno-łużyckiem, składa się z 32 stron w 4-ce, i zawiera, oprócz części astronomiczno-kościelnej, artykuły popularne treści politycznej informacyjnej i obyczajowej, prozą i wierszem. Pomiędzy ostatnimi wyróżnia się *Serbow narodny spiw* (wot Handroša Seilerja), podany z melodyą, oraz wiersz o ziemi rodzinnej p. n. *Moj woszcojski kraj* (przez M. Kósyka). Do artykułu streszczającego wybitniejsze zdarzenia spółczesne ze świata politycznego (*Kak w swieśe hugleda*) dodany jest w udatnym drzeworycie portret Milana IV Obrenowicza, dzisiejszego księcia serbskiego. Pod względem ilustracyj kalendarz zeszłoroczny przedstawiał się nieco okazalej, zawierał bowiem aż 3 portrety znakomitości: Mikołaja ks. czarnogórskiego, Aleksandra ks. bulgarskiego i J. I. Kraszewskiego (z krótkim życiorysem pióra Hórnika). Dobór jednak artykułów w tegorocznym, chociaż w zmniejszonej ilości, odpowiedni przeznaczeniu książki ludowej. Dla tejże przyczyny czcionki użyte gotyckie i pisownia, do której lud przywykł, niemiecka, zmieniona nieco i zastosowana do natury dźwięków mowy ludowej. Dźwięki np. wyrażane u nas znakami *rz* i *ś* oddają się tam przez ſch (pschedprzed, wiźesch=wiźeś, pols. widźieć), również dla wyrażenia dźwięku *sz* służy połączenie ſch, w którym ſ przekreślone zukosa (czego w wydawnictwie zeszłorocznym nie było), dźwięk z, oddany przez ſ (ſamkńony), zaś dźwięk *s* przez ß, a dźw. *c* przez ʒ (np. ßłowa, ßłužabnik; ʒaßy=casy tj. czasy, huʒone tj. uczone, u dolno-łużyczan bowiem nie ma dźwięku *cz*, podobnie jak w ludowych narzeczach polskich), dźwięk *ć* oddany przez *cź* (np. pschińascź=pols. przynieść) i t. p. Redaktorstwo kalendarza, podobnie jak *Pratyi* zeszłorocznej przyjął M. H. (Hórnik), zasłużony na polu oświaty ludowej łużyczanin.

Ad. Ant. Kryński.

Badania dziejowe.

Historyi polskiej, treściwie opowiedzianej, ksiąg dwanaście — napisał prof. Józef Szujski. — Warszawa 1880 roku.

Ostatnie lata przyniosły nam dość wdzięczny plon w podręcznikach do historyi polskiej, usiłujących już to nowszą metodą wykładu, już to śmielszymi a gruntowniejszymi poglądami odświeżyć zatęchłą atmosferę tendencyjnego dziejoznawstwa. Warszawskie publikacye z r. 1879 i 80 zdradzają widoczny postęp nietylko w sumarycznem porównaniu z nudnem bajarstwem doby niedawno ubiegłej, ale i wewnętrznie — przy zestawianiu pojedyńczych zjawisk w porządku chronologicznym. Dwa lata temu znany *powieściopisarz* p. W. Przyborowski usnuł obraz dziejów, doprowadzony do r. 1699. Była to rzecz ułamkowa, jednostronna, miejscami zbyt powierzchowna, ale niepróżna oświetlającego pewne fakta planu i nacechowana dodatnio świeżością stylistyczną. Wkrótce potem ukazała się w obiegu ważniejsza książka — dzieło utalentowanego *prawnika* krakowskiego (M. Bobrzyńskiego): nieobfity w szczegóły historyczne, tu i owdzie świetny, nie wszędzie wierny źródłom, ale silnie zabarwiony sylogizm łańcuchowy, pamflet w duchu monarchiczno-konstytucyjnym. Obecnie mamy przed sobą wyraz nowego stadyum rozwoju, pracę zasłużonego *profesora historyi*. Przyjrzyjmy się jej zbliska.

Autor, jak widać ze wstępu, pragnie zapełnić brak podręcznika, któryby streszczał w sobie „na bogatszym materyale i lepszej metodzie oparte“ zdobycze nauki. Rzut oka na dziejopisarstwo polskie z owej doby romantycznej, gdy pracownicy pocili się nad stworzeniem dla wybranego narodu, naprzekór prawom nieuchronnym, jakichś „wyjątkowych warunków“ bytu, — uprzedza nas dodatnio o książce, która nie goniąc za odzianą starannie w szatę zacności, przerabiała faktów *ad usum Delphini*, czyli za „popularnością w zwyczajnem tego słowa znaczeniu“, tem się jedynie ma różnić od prac ściśle naukowej, że nie opiera swych wywodów „na aparacie przypisów objaśniających“.

Podział na dwanaście ksiąg, chociaż nie rości sobie praw do oryginalności, jest przecież ze wszech miar praktyczny i uzasadniony. Rozdrobienie państwa po śmierci Krzywoustego, powrót do jedności politycznej, unia z Litwą, wstąpienie na tron Kazimierza Jagiellończyka, Zygmunta I, śmierć Zygmunta Augusta, rokosz Zebrzydowskiego, zawierucha kozacka, zwycięstwo chocimskie (1673), sejm 1717 r. — są to epoki, na których oko badacza, jako na zwrotnych punktach, koniecznie spocząć musi. Nie umiemy sobie tylko dostatecznie wytłomaczyć, dlaczego autor stawia za kres dobie podziałowej — rok 1279. „Prawie spółczesna śmierć trzech Bolesławów“ — Rogatki, Pobożnego i Wstydliwego — podobnie jak zgon Mszczuga (Mestwina), zapisującego Pomorze Przemysławowi, — nie wywiera stanowczego wpływu na zjednoczenie księstw piastowskich; owszem, wikła jeszcze bardziej samą w sobie i mota zewnętrznie tę sieć kollokacyjną, z której dopiero w lat kilkadziesiąt powstaje całość polityczna pod dzielną dłonią Łokietka. Z tego względu uważalibyśmy nie r. 1279, ale 1305 za naturalną miedzę okresu.

Metoda wykładu w pierwszych czterech księgach jest dość wybitnie porównawczą; w następnych — ogrom materyału, odnoszącego się do dziejów polsko-litewskich, zmusił naturalnie historyka do zwężenia widnokręgu. Całość zato nosi na sobie przeważną cechę bezstronności pragmatycznej: rzadko gdzie polemika i wywody myślicielskie zabarwiają dzieło rumieńcem indywidualnym. Każda księga, podobnie jak i u poprzedników, składa się z dwu części: w pierwszej traktuje autor sprawy polityczne, w drugiej — wewnętrzne. Trudno cokolwiek przeciw temu powiedzieć, zwłaszcza, gdy podstawowej sumienności towarzyszy zgoda i wzajemne uzupełnianie się obu koniecznych stron obrazu. Mamy tylko żal do profesora, że w miarę postępu rzeczy dziejowej, poglądy jego na rozwój społeczeństwa maleją, kruszą się (czego wymowny dowód przedstawia zamknięcie księgi XI), lub, jak na końcu dzieła, drętwieją w powtórzeniu znanego już ze wstępu — ogólnika... Publiczność czytająca słuszną n. p. może mieć pretensyę do badacza, który uprzedziwszy ją z góry, iż „objawy wewnętrznego życia polskiego — w epoce od 1674 do 1717 — zasługują na szczególniejszą uwagę“ — poświęca im, jakby na drwiny, lichą kartkę suchych, wątpliwej wartości notatek. Bo cóż tam znaleść można? — Prócz pobieżnej wzmianki o kolonizacyi ukrainnej — bibliograficzne zaregestrowanie działalności Karwickiego i Szczuki na polu literatury państwowej; ale szczegół ten, równie jak hołd dla talentu Kochowskiego i nagana za pesymizm, udzielona Otwinowskiemu, niewiele chyba nauczą czytelnika. Wolałby on zapewne, aby historyk, zamiast rozdawać cieniom przodków laury i plagi, odmalował treściwie ówczesne społeczeństwo, korzystając z pomników przeszłości w sposób naukowy i artystyczny. Cechą okresu (1674 — 1717) jest, zdaniem p. Szujskiego, rozbrat między „oświatą rodzimą“ a zagraniczną. Możebyśmy się na to zgodzili, gdyby sz. profesor nakreślił przekonywający obraz ówczesnej cywilizacyi, albo przynajmniej zdecydował się na jakiś jednolity sąd o owej oświacie rodzimej; ale na nieszczęście spostrzegamy tu jaskrawą sprzeczność w wyrażeniach, do reszty zaciemniającą aż nazbyt zwięzłe poglądy. Oto dwa zdania, których niepodobna, bez obrazy zdrowego rozsądku, sprowadzić do wspólnego mianownika: 1) „Trzeba tu stanowczo rozróżnić *obskurantyzm szkoły i wychowania szlacheckiego*, od tego zagranicznego wpływu, który działa na wyżyny społeczeństwa“; 2) „Wogóle cechą czasu jest rozdarcie między *oświatą rodzimą i zdrową*, rdzenną, acz podupadłą, a pokostem cywilizacyi zagranicznej...“ Między *obskurantyzmem* a *oświatą* jest, jak się zdaje, sprzeczność zupełna; a choć skądinąd obskurantyzm uważać można za synonim *oświaty rodzimej* (zwłaszcza, gdy ta za murem chińskim spleśnieje), nikt chyba z naszych czytelników nie pomyśli, aby śniedź taka, z pól ojczystych zebrana, zdrowym była pokarmem.

Główną wadą dzieła jest zbyteczna treściwość. Miejscami wpływa ona tak ujemnie na oddanie myśli, że mimo woli przypomina się odwieczny Horacyusz ze swą

maksymą: „Brevis esse laboro, obscurus fio“. W związku z tym niedoborem zostają usterki logiczne.

Krańcowa zwięzłość razi nas w ciemnym wykładzie motywów, pociągających za sobą śmierć ś. Stanisława (str. 21, 22). Mowa tam o „ruchu ludowym“, o ucisku gminu przez drużynę królewską, o kolizyi między monarchą a duchowieństwem; ale ku czemu ruch dążył, w imię czego gmin uciskano i t. d., o tem czytelnik, jeśli do źródła nie zajrzał, a opracowań nie czytał, może śnić, co mu się podoba.

Pod kategoryę ślepych tego rodzaju węzełków podciągamy jeszcze: 1) ogólnikowe wzmianki o szlachcie w okresie piastowskim i starojagielońskim (aż do Zyg. Augusta); 2) dwukrotnie (str. 128 i 145) a zawsze niejasno pomieszczoną wiadomość o zabiciu przez mieszczan krakowskich Andrzeja Tęczyńskiego, kasztelana wojnickiego; 3) dwuznaczną rzecz o Filipie Buonacorsi (str. 148, 152); 4) wieść o zamachu na życie Zygmunta I w roku 1522 (str. 166); 5) ryczałtowe potępienie satyr K. Opalińskiego (str. 307); 6) rozmyślne czy mimowolne, a bądź co bądź w lakonizmie grzęznące lekceważenie sejmu z r. 1776.

O każdym z tych punktów radzibyśmy coś powiedzieć, ale ramy pisma na to nie pozwalają. Poruszymy wszakże dwie odmienne sprawy: Kallimacha i sejmu Mokronowskiego. Na str. 148 autor wzmiankuje, że Buonacorsi, domyślna sprężyna „zamachu stanu“ w dramacie elekcyi Jana Olbrachta był jednostką „powszechnie znienawidzoną“.

Wkrótce potem czytamy, że Kalimach radził Olbrachtowi skarbić sobie względy szlachty, i że „wszelkie wieści o jego niepopularności są późniejszym (tendencyjnym naturalnie) wymysłem“ możnowładztwa. Autor porusza tu zbyt treściwie strunę nader ciekawą; chociaż trudno pojąć, jakim sposobem człowiek *powszechnie znienawidzony* w r. 1492, stał się przed r. 1496 mężem *popularnym*. Czyżby zresztą jego „Praecepta secreta“ były nietylko apokryficzne, ale i bezzasadne; czyżby owa rada: „posły ziemskie zatrać...“ — tak licująca z makiawelizmem Filipa Buonacorsi, była głosem widma, puszczonego na szlachtę przez możnowładzców; czyby wreszcie udaną jedynie maską szczerości zdołał sobie Kalimach zyskać względy herbownej gawiedzi?... Do tego szczegółu, jak i do wszystkich popełnionych w rozbieranej książce lakonizmów, oczekiwać wypada komentarzy w zapowiedzianem przez sz. profesora, obszerniejszem wydaniu całkowitych dziejów Polski.

Sejm z r. 1776 godzien był należytego uwydatnienia, jako ważny punkt zwrotny[1]). Na poparcie swego mniemania przytoczymy cenne słowa ks. W. Kalinki [2]): „Co odtąd (od 1776) zrobiło się dobrego pod względem wewnętrznego zarządu, dźwigania i uporządkowania kraju, to wszystko sejmowi z r. 1776 przypisać należy etc.“

Przechodzę do usterek czysto logicznych. Na str. 169 jaskrawi się takie zdanie: „Wobec rosnącego niebezpieczeństwa tureckiego i najazdów tatarskich, przeciw którym *już 1533 r.* Ostafi Daszkiewicz obronę ostrowów Dnieprowych zalecał, król podjął *na sejmie r. 1527* w Krakowie *znowu* sprawę reformy skarbowej i wojskowej“. Błędów tu żadnych, nawet korektorskich, nie ma; jest tylko zamęt logiczno stylistyczny. Za iście typowy kłębek myśli splątanej uważam następny okres: „Oznaczyć *miarę* służby („w interesie dźwigającego się kościoła“), wedle stosunków i interesów każdoczesnych narodu, należy koniecznie do jego czynnika władzy: Zygmunt (III) *tą miarą nie był*, bywał stroną“. Więc Zygmunt III miał być *„miarą służby“*, oznaczonej przez czynnik władzy!? Konkursowa to zaiste zagadka. Nie będąc ani stańczykiem, ani „Sforką intendentem“, rozwiązywać się jej nie ośmielę. Ale są tu jeszcze inne, niemniej ciekawe zboczenia: „Poziom umysłowy Reja jest (zdaniem autora) znacznie niższy od spółczesnego Montaigne'a, dar spostrzegawczy jego o wiele słabszy... *co przy jego popularności i sławie nie rzuca zbyt korzystnego światła na koło szlacheckie*“.— „Modrzewski *wręcz przeciwne* zajmuje stanowisko“. — „*Antytezą* do Modrzewskiego staje w ciągu swego burzliwego zawodu St. Orzechowski“ (166,7). Moglibyśmy tu, idąc w ślad za wywodami uczonego profesora, dojść — torem niemal matematycznym — do osobliwego wniosku, mianowicie, iż Orzechowski, jako antyteza Frycza, równa się Rejowi, względem którego tenże Frycz Modrzewski wręcz przeciwne zajmuje stanowisko. Ale nie myślimy tych nieścisłych wyrażeń historyka na czułych szalkach przeważać. Jaskrawszem jest to, co autor mówi o Reju w porównaniu z Montaigne'em. Pan Szujski zapomina, że 1) Rej — to dziecię innego kraju, śród innych, niż M., wychowane warunków; 2) że nasz pierwszy pisarz-myśliciel był tylko utalentowanym samoukiem, podczas gdy francuski filozof mieścił się w rzędzie najznakomitszych uczonych swej epoki; 3) że ci dwaj różni walecznicy postępu nie mogą być uważani za ludzi ściśle spółczesnych — Rej bowiem wyprzedził Montaigne'a o trzydzieści blisko lat. Czyż wreszcie ta jedna okoliczność, że Mikołaj z Nagłowic był uzdolnieniem i rozwojem umysłu niższy od Montaigne'a, może bez obrazy historyi i logiki rzucać niekorzystne światło na koło szlacheckie, śród którego nasz prawdomówny autodydakta cieszył się popularnością...? Bezzasadność podobnego wywodu łatwo ocenić. Montaigne, jakkolwiek nie gieniusz, stoi na wyżynach filozofii XVI wieku; Rej pod wielu względami niższy jest od niego; ale to bynajmniej nie upoważnia nas do odarcia zdrowomyślnego moralisty-satyryka z tej chwały, na jaką rzetelnie śród społeczeństwa polskiego zasłużył.

Autor nasz, stronnik silnego rządu, prawowierny monarchista z przekonań, słusznie może nie sprzyja reformacyi za to, że zbiegiem okoliczności spowodowała u nas bujniejszy rozwój szlacheczczyzny, a pośrednio anarchii. Ale nie zatrzymuje się on u tego kresu. „Zamęt religijny XVI wieku (mówi historyk) w najujemniejszy sposób wpływa na *moralność* społeczeństwa polskiego.“ „Wiek XVI (powiada dalej) *wszędzie* był wiekiem wielkiego zamętu...; do organizacyi społeczeństwa i państwa *stałej* nikt w nim nie doprowadził(?), a nieszczęściem było dla Polski, że jej się *w tym właśnie wieku* przeobrażać przyszło.“ Ślepy fatalizm, bezwzględność przekonań, dochodząca do absurdu! — Trudno wątpić na chwilę, że moralność wieku XVI (pomimo częstych, napotykanych u Wolana i innych pisarzy, skarg na mężobójstwa) była wyższą od moralności z okresu reakcyi katolickiej. Porównajmy tylko satyry Kochanowskiego i Opalińskiego. Dowodów na to zresztą jest więcej w skarbcu literatury satyrycznej, politycznej, pamiętnikowej. Wiek XVI był u nas, jak w całej w ogóle Europie — nie epoką zamętu, lecz ruchu i walki organicznej. Mylnem też jest, powtórzone kilkakrotnie przez p. Szujskiego, absolutne mniemanie, jakoby stulecie to nie wykołysało ani jednego organizatora państwa. Czyż na takie miano nie zasługuje Gustaw Waza? Ale prawda, autor uderza głównie na brak, jakiejś gdziekolwiek pod tę dobę, *stałej* organizacyi politycznej... Tego rodzaju zdanie, zatrącające jakąś stęchlizną staro-elecką, w ustach wytrawnego historyka wydaje się nam co najmniej dziwnem. Wszakże najgenialniejsze systematy na to się *dziś* po wszystkie czasy tworzą, aby je *jutro* zmieniano. Ztąd wynika, że skarga na wiek XVI jest ślepym w powietrze wystrzałem, eklezyastycznym protestem przeciw niestałości rzeczy ludzkich... Z tem wszystkiem, szkoda wielka, żeśmy „nie doszli do przeobrażenia politycznego“ w poczciwym wieku XVII lub w pierwszej połowie XVIII! W XVI stuleciu przeklęta reformacya, czy jędza jakaś złośliwa, unosząca się w atmosferze nad całą Europą, *urzekła* widać pierwszą na polach wolskich szopę elekcyjną!

Łatwo się domyślić, że jak cały ruch reformacyjny, tak i jeden z najzdrowszych jego płodów — pomysł kościoła narodowego—zawiesza, zdaniem autora, nad Polską miecz Damoklesa (200). Jest to jedno z niewielu miejsc, w których wyrażają się dobitniej przekonania polityczne p. Szujskiego. Za daleko oryginalniejszy uważamy pogląd na zabarwioną silnie pod dobę reakcyi katolickiej dążność do religijnego zjednoczenia państwa: Zygmunt III urzeczywistniając swe plany „miał w zasadzie racyę (256); zapomniał tylko, że aby to dążenie nie było stronniczem i *nielegalnem* w kraju, który pokój z dysydentami wpisał w fundamentalne prawa, trzeba było dążyć do... wzmocnienia władzy królewskiej...“ Jak widzimy, autor nasz osobliwy ma pogląd na to, co legalne, a co nielegalne. Tłumienie różnowierstwa pod sztandarem ultramontańskim uważałby za czyn *legalny*, gdyby król, wódz nawrających apostołów, wzmocnił był wprzód swą władzę. Pomijam nateraz wszelkie głębsze względy, niezależne od formalnej legalności, ale nie mogę powstrzymać się od pytania: czy Zygmunt mógł wzmocnić swą władzę na drodze *legalnej*, czy mógł urość inaczej, jak przez zamach stanu? Wszakże piętrzył się między nim a narodem wiekowy gmach statutów i konstytucyj...

Przejrzyjmy nakoniec, dla uzupełnienia recenzyj, inne, czysto historyczne i że tak powiem — faktowe usterki:

1) Na str. 8 czytamy: że gdy podanie o Krakusie, Wandzie, Leszkach — ma wiele analogii z mitami czeskimi, „*rodzimą polską* jest legenda o Popielu i Piaście.“ Dla zachwiania wiary w bezwzględną polskość Piasta — wspomnimy tylko o Przemysławie czeskim. Co się tyczy Popiela, podkopują silnie grunt pod tem zdaniem oparte na źródłach, notatki Szajnochy („Myszy króla Popiela“—tom II, str. 168), gdzie przytoczono aż *dziewięć* mitycznych (zebranych z gruntu Polski, Niemiec i Francyi) zdarzeń zjedzenia przez myszy różnych dostojników duchownego i rycerskiego stanu.

2) Mówiąc o ostatecznem rozpadnięciu się kościoła chrześciańskiego w r. 1054 na zachodni i wschodni, oraz o wynikającem ztąd ciążeniu różnych ludów *słowiańskich* ku Rzymowi lub Konstantynopolowi, p. Sz. zalicza wyraźnie do słowian, wbrew wszelkim podstawom i wywodom, graniczących z niemi—*węgrów* (str. 12).

3) Pogląd na stosunki społeczne i sprawy kościelne *w wieku XIII* poucza nas o siedleniu zakonu maltańskiego (sic!) w Poznaniu, Kaliszu i Wrocławiu, bez względu na to, że joannici przybrali miano maltańczyków dopiero w r. 1530.

4) Kazimierz Jagielończyk zawiera (str. 119) w r. 1454 śluby małżeńskie z Elżbietą „siostrą Albrechta“ — naprzekor wiarogodnym źródłom, według których królowa Elżbieta była *córką* cesarza Albrechta, a siostrą „Pogrobowca,“ jedynego potomka płci męzkiej pośród swego rodzeństwa.

5) Smoleńsk został zdobyty przez Glińskiego dnia 30 lipca 1514 r., nie zaś w r. *1513*, jak czytamy na str. 163.

6) Zaznaczając fakt konfederacyi warszawskiej (1573) pożądanej dla *dysydentów*, dodaje autor w nawiasie, że wtedy po raz pierwszy nazwali się w ten sposób różnowiercy, t. j. akatolicy-protestanci. Nie przeczymy, że uchwały gwarantujące w r. 1573 wolność sumienia, o ile pod dobę rea-

[1]) Przedmiot ten opracowaliśmy w rozprawie *Kresy dziejowe.*

[2]) *Sejm czteroletni* — § 28.

kcyi dogodne były dla protestantów, o tyle zbyteczne dla katolików; ale pod słowami „dissidentes de religione“ rozumiano wtedy wszystkich wogóle obywateli kraju *różniących się* w wierze, i dopiero później zaczęto wyrazem „dissidentes“ oznaczać *wyróżniającą się miejscowość.*

7) Władysław, syn Zygmunta III „znany był narodowi, jak sądzi p. Sz. z *żywego udziału* w wojnie 1621 r.“ Łatwo spostrzedz, że autor zostaje tu znów w jawnej kolizyi ze źródłami, a mianowicie z pamiętnikiem Jakóba Sobieskiego. Wszakże satyryczną okrasą zbudowanej na tym gruncie „Wojny Chocimskiej“ są właśnie ustępy, wymierzone przeciw bezczynnemu w obozie a rzekomo chorującemu sybarycie.

Oprócz powyżej oznaczonych zboczeń, dałoby się wykazać jeszcze kilka miejsc ciemnych lub kulejących — czy to pod względem logicznym, czy polityczno dziejowym. Najważniejszą wadą dzieła jest zbyteczna jego zwięzłość; pochodzi ona stąd, że znaczny zasób imion i dat wtłoczono nieprzezornie w ciasne ramy podręcznika. Trudno taki niedobór konstrukcyjny uważać za wyraz roztropności pisarskiej i poczucia zasad dydaktyczno-artystycznych, z któremi każdy autor historycznego kompendyum, jeśli chce być zrozumiany, koniecznie liczyć się musi. Za niezbędny też warunek dobroci książki naukowej dla młodzieży poczytuje się zdawien-dawna poprawność języka i ład stylowy. Z tedy punktu wychodząc, nie jesteśmy zwolennikami zdań takiej np. konstrukcyi: „pierwszym faktem po *jego* śmierci, a nie po *jego* zapewne myśli, było wyniesienie na tron w. książęcy litewski *jego* trzeciego syna Aleksandra — bez porozumienia z polakami, skoro już 27 czerwca mamy *jego* akta wielkoksiążęce (str. 148).“ A nie jest to bynajmniej unikat.

Bądźcobądź książka p. Szujskiego przedstawia, w porównaniu z dawniejszymi podręcznikami, niemało stron dodatnich. Celuje ona systematycznością opowiadania i możliwą pełnią przedstawionego obrazu; podaje czytelnikom polskim sporą wiązkę rzeczy nowych (jak np. szczegóły o stosunkach Bolesława Śmiałego z Grzegorzem VII, cenną wzmiankę o przywileju mielnickim z r. 1501, o porozumieniu Zebrzydowskiego z Dymitrem Samozwańcem, i inne); mieści w sobie przytem wyborną charakterystykę wielu działaczów historycznych (jak Kazimierza Jagielończyka, Olbrachta, Zygmunta Augusta, Stefana Batorego, Jana Zamojskiego i t.d.); ze stosunków wewnętrznych opracowywa najlepiej sprawy kościelne w okresie piastowskim i jagiellońskim; krocząc wreszcie naprzód, z zapaloną pochodnią historyozoficzną w ręku, pomimo cząstkowych uprzedeń i zboczeń, natrafia szczęśliwie na drogę, po której Rzplita staczała się ku przepaści i odgaduje poniekąd rodowód dumy nieuctwa, mesyanizmu polskiego (244, 245). Wartość książki podnosi, umieszczony na końcu dzieła, spis źródeł i monografij, odnoszących się do dziejów narodu, chociaż ujemną jego stroną jest brak należytego porządku, niepotrzebne powtarzanie nagłówków i znaczne szczerby w dziale opracowań.

Antoni Gustaw Bem.

MUZYKA.

Dziesięciolecie Towarzystwa Muzycznego. — Burza w jego łonie. — P. Noskowski jako tęcza. — Opera włoska. — Opera polska. — Koncerty. — Pani Brajnin.

Rok 1881 dla muzyki naszej, a zwłaszcza dla miejscowej zaczął się pod pomyślną wróżbą. Pan Zygmunt Noskowski objął ster dyrektorski w Warszawskiem Towarzystwie Muzycznem. Skromna ta na pozór instytucya jest jedynem ogniskiem żywotnem ojczystej sztuki w Warszawie. Dziesiątek lat istnienia Towarzystwa doprowadził je do bardzo chwiejnego i smutnego położenia. W pierwszych latach, dzięki energii i wytrwałości założycieli, żyło ono prawie bezwiednie, porwane prądem pierwszego zapału. Dyrektor był tylko firmą konieczną... do dźwigania... tytułu i kierowania... batutą — zresztą błogi pokój i zdanie się na opatrzność było cechą początkowych lat kierunku instytucyi. Pierwotna energia wyczerpała się wkrótce, tak jak każda ludzka siła— potrzeba było nowego bodźca. Wynaleziono go w postaci sympatycznego, sprężystego, a... nadewszystko, bardzo taktownego, nowego dyrektora. Pierwszą tę zmianę wywołała konieczność, przed którą nawet niezwyciężona koteryjność ugiąć się musi. Dziwa się działy w naszej lubej Warszawie! Za staraniem dyrektora chór odnowił się z gruntu, a nowo uorganizowana orkiestra amatorska, jeżeli nie została zaliczona do cudów świata, to zapewne tylko dla tego, że wiek nasz, wiek pary i elektryczności, zbyt wiele posiada cudów. Towarzystwo wówczas cieszyło się najświetniejszem i w istocie zasłużonem powodzeniem. Dążenia jego, umiejętnie kierowane przez dyrektora, były poważne, szczerze artystyczne, nieulegające zbyt płytkim wymaganiom publiczności. Bawiono się na dwutygodniowych wieczorach wybornie, a przytem korzystano wiele. Rzeczywiście, nie przypominamy sobie sezonu zimowego, któryby pod względem muzycznym mógł równać się z owemi szczęśliwemi chwilami. Zbyt prędko minęły jednak „szczęśliwe dni Aranjuezu“. Pracowity dyrektor zmęczył się tą gorączkową pracą, publiczność zaś lubi zmiany. Zmiana nastąpiła. Dyrektorem został artysta, bezwątpienia zdolny do wszystkiego, tylko nie do kierowania instytucyą, której siły i środki podtrzymuje nader drażliwe, *amatorskie* upodobanie w sztuce. Zbyt sangwiniczna natura dyrektora, nie posiadająca delikatnego dotknięcia, do jakiego przyzwyczajony był ogół, wprowadziła nawę Towarzystwa na niespokojne morze amatorskich i nieamatorskich swarów. Nie brakło przytem życzliwych, miejscowych boreaszów, które po za plecami rozdrażnionych amatorów rozdmuchiwały zgubny ogień niesnasek.

Nie dziwna więc rzecz, że w pośród takiej burzy, z początku cichej i delikatnej (cechy właściwe *bezinteresownej* obłudzie), następnie groźnej, ster wypadł z rąk zbyt szczerego dyrektora. Zamęt... zdaleka już słychać smętne okrzyki zagłady... likwidacyi... krokodylowe łzy współczucia... ratowanie resztek amatorskich sił, które dziwnym trafem ocalały aż... na deskach teatralnej, koncertowej estrady — jednem słowem burza, jak w mętnych falach naszej Wiselki, która niekiedy wiele by zabrać chciała, częściej jednak brudnym wprawdzie, lecz płodonośnym iłem brzegi maże. Po burzy — zbawienny spokój. Bliższe zastanowienie się przekonało, że losy Towarzystwa wprawdzie nie świetne, nie zmuszają jednak do śmiertelnego zrozpaczenia. Burza oczyszcza, wzmacnia i orzeźwia. Z jej łona dobyło się pytanie, kogo wybrać, by skołataną nawę ocalić i do dalszej żeglugi przygotować? Potrzeba do tego pracownika nielada, chłodnego, sumiennego, taktownego i przytem posiadającego już ustalone imię. W pośród miejscowych, opromienionych dobremi chęciami, krzyczących za sobą wielkości było kilka — lecz nie chciano z nich zrobić użytku. Zwrócono oczy na p. Zygmunta Noskowskiego. Artysta ten, pracujący szczerze dla sztuki, lecz nie na naszej ziemi, nieraz się przypominał krajowi swymi utworami. Z utworów tych wieje smutek ludowej pieśni naszej, zapał i szczerość naszego temperamentu. Temu artyście nic zarzucić nie było można, — żył zdaleka nas, więc wody wielkościom miejscowym nie mącił—miał uznanie u *ukochanych* sąsiadów naszych, więc zapewne na nie zasłużył. Dalejże głosować — p. Zygmunt Noskowski jednozgodnie dyrektorem wybrany został i od 15 stycznia r. b. swój trudny urząd sprawuje. Czy dogodzi wszystkim? Przyszłość odpowie. Przeszłość i teraźniejszość, wyrażone w dotychczasowej działalności i utworach tego artysty, przedstawiają nam go jako człowieka energicznego, pracowitego, nie pozującego, lecz wiedzącego o swej wartości. Szereg dzieł jego instrumentalnych, które nam przedstawił, jest szeregiem dowodów twórczości i sumiennej nauki, dowodów, które pieśni, duchowi ojczystej muzy naszej, wyrobią przynależne miejsce w skarbnicy współczesnej sztuki europejskiej.

Ciężkie obowiązki spoczywają na barkach obecnego dyrektora — ale sądzimy, że pracy się nie ulęknie, a pomagać mu każdy szczerze miłujący ojczystą sztukę jest obowiązany. *Viribus unitis...*

Powyższy ulotny szkic dziejów pierwszego dziesięciolecia Towarzystwa Muzycznego jest wstępem do naszych sprawozdań z dziedziny muzyki. Przechodzimy obecnie do zjawisk bieżących, które niestety są bardzo jałowe.

Opera włoska trudni się ustawicznem przeżuwaniem rzeczy starych, ogranych. Z nowości, oprócz *Mefistofela* Boito'a, sprowadzającego zawsze tłumy i cieszącego się przynależnem powodzeniem, nic nam nawet nie obiecują. P. Naudin zbiera oklaski weterana, przypominającego dawne świetne czasy siwym i wiekowym jak on słuchaczom. Inni śpiewacy odznaczają się wszelkimi przymiotami, tylko nie głosowymi. Młodość, tusza, piękna twarzyczka i t. p. wdzięki są przedmiotami, oklaskiwanymi przez amatorów włoskiego i pseudowłoskiego *kantu.*

Polska opera przedstawiła *Sen nocy letniej* Thomasa. Opera komiczna, nieodznaczająca się ani oryginalnością, ani dowcipem, była świetnym popisem pani Dowiakowskiej. Inni artyści chcieli lub robili to, czego robić nie są w stanie.

Koncerty dyrekcyi teatrów świecą upartemi pustkami. Imiona dwóch pierwszorzędnych skrzypków, jak p. Auer i p. Viardot—nie zdołały przyciągająco oddziałać na warszawskich melomanów. Zresztą wiadomo jest, że muzykalność naszego ogółu znajduje się w tym pierwotnym stadyum rozwoju, który ogranicza się i zadawalnia li tylko śpiewem. Śpiewaczek więc i śpiewaków jak najwięcej!

Z koncertów dobroczynnych zanotować możemy tylko jeden, na dochód uczniów Szkoły Weterynaryjnej. Na koncercie tym amatorka, pani Brajnin, obdarzona prześlicznym głosem sopranowym, którym włada wcale nie po amatorsku, przeleciała jak kometa przez nasz ciemny widnokrąg artystyczny.

S. C.

LIBERUM VETO.

Zjazd kuratorów. — Język Ezopa i język mimiki. — Oddziały równoległe przy Szkole Realnej. — Niewinne przestępstwo.—Omnibusy w których miejsca nie ma.— Francuski tramway. — Wspomnienie o Mianowskim.— Moi kochani — jako środek gaszenia pożarów młodzieży. — Proces bezwstydu. — Dziecko w dramacie.— Święty wyrok.

Obecnie odbywa się Petersburgu zjazd kuratorów okręgów naukowych, obradujący prawdopodobnie[?] zjazd sprawami oświaty w całem państwie. Ponieważ tam rozstrzygają się i losy naszych głów, więc

należałoby... powtórzyć przynajmniej to, co prasa rosyjska pod adresem pedagogicznego zjazdu wypowiedziała. Zmierzywszy jednak moje myśli ze słowami, doszedłem do wniosku, że gdybym w tej sprawie chciał zabrać głos, musiałbym użyć nie — jak radzi znakomity satyryk rossyjski Szczedryn — języka Ezopa, lecz języka mimiki. Naturalnie, w piśmie jest to niemożliwem. Bo chociażbym ułożył naprzód rodzaj słownika i objaśnił, co znaczy dotknięcie ręką do serca i wskazanie ku pałacowi Kazimierowskiemu; co znaczy uderzenie w czoło i przyłożenie palca do ust, chociażbym później myśli moje tymi znakami wyraził, wątpię bardzo, czybyście mnie czytelnicy zrozumieli. Ha, ha, ha — z pióra zbiegł mi śmiech przy tych słowach. Co ja mówię! Alboż to raz nic wam nie powiedziałem, żadnego mimicznego ruchu nie zrobiłem, a wyście mnie zrozumieli! Doprawdy, szczerze mówiąc, po co my literaci. półsłówkami, szeptem, mruczeniem, gestykulacyą usiłujemy wyrazić to, co każdy z czytelników w duszy swojej jasno wyryte odczytać może? Fe, uciążliwa i do tego daremna robota. Jeżeli w Petersburgu odbywają się narady kuratorów, czyż nie dosyć samej tej wiadomości na wydobycie z całego społeczeństwa zgodnego głosu chóralnego naszych pragnień szkolnych?

Pomówmy za to o jednem życzeniu spełnionem: przy Szkole Realnej będą urządzone tak zwane oddziały równoległe. Miasto więc nasze zyska jedno gimnazyum więcej. Chwała... nie wiem komu. Ze wszystkich przestępstw, jakie człowiek popełnić może, najmniejszem jest zapewnie chęć uczenia się. Tymczasem corocznie, z powodu braku miejsca w szkołach, setki dzieci skazywane bywają na najcięższą karę — na pozbawienie praw nauki. Gazety rosyjskie wylały już ocean słów dla rozstrzygnięcia pytania, jakie szkoły są lepsze: klasyczne czy realne. Przypomniało mi to spór dwu obdartych dziewczynek z jakiejś bajki, które nie mając czem okryć nagiego ciała, kłóciły się o to, jakiego koloru sukienka piękniejsza.

Gdyby mnie spytano, jakie szkoły u nas są najlepsze, odpowiedziałbym, że... założone.

Z tego również powodu nie miałbym takiej, jak inne pisma, pretensyi do pani P., która kształcić będzie nasze córki w języku francuskim, gdyby u nas dziewczynki odprawiane były jak chłopcy od drzwi szkolnych dla braku miejsca. Kiedy siedzę w nieśmiertelnym naszym omnibusie, w którym nie mogę odszukać swoich nóg i utrzymać w należytem bezpieczeństwie boków, rozmyślam nad wielkością tramwayów. Ale kiedy zmęczony pragnę czemkolwiek odbyć pielgrzymkę do Trzech Krzyżów a konduktor pełnego omnibusu rozkłada ręce ze współczuciem i mówi: „niema miejsca,“ o, wtedy każde pudło na kołach wydaje mi się nieocenionem. Ponieważ zaś dotąd, o ile mi wiadomo, żadna jeszcze z naszych konduktorek nie potrzebowała rozkładać rąk i przejeżdżać ze swym pełnym omnibusem mimo pozostawionej pasażerki, więc wątpię, czy francuski tramway pani P., który będzie musiał przytem kursować po najmniej uczęszczanych ulicach, znajdzie dość chętnych. Nabożeństwa w pensyonatach naszych odbywają się w języku liturgii, ale od tego są kaznodzieje, ażeby słuchaczkom tłomaczyli prawdy w mowie zrozumiałej. Tymczasem pani P. chce je przeprowadzić na zupełnie inne wyznanie pedagogiczne. Zawcześnie — jeszcze w starych naszych omnibusach jest dość miejsca.

Przyszły takie czasy, że nietylko do starych omnibusów, ale i do starych konduktorów nieraz szczerze zatęsknić musimy. Tęsknotę uczuł zapewnie niejeden z profesorów warszawskiego uniwersytetu, który w ubiegłym tygodniu patrzał na maleńki ogień, rozdmuchany śród młodzieży. Ile razy słyszę o podobnych wypadkach, zawsze mi przychodzi na pamięć nasz poczciwy Mianowski. On zawsze umiał kilkoma ojcowskiemi słowy gasić pożary, jakie śród nas wybuchały. I w taki tylko sposób gasić je można. Zeszłego roku polecono surowo, ażeby studenci ukazywali się publicznie w mundurach. Gdy pewna część młodzieży nakazu tego nie usłuchała, jeden z profesorów uniwersytetu, pragnąc ją nakłonić do uległości, mówił:

— Opowiem panom wypadek, który was przekona, że w Szkole Głównej postępowaliśmy inaczej. Studenci ubierali się według woli, ale raz kuratorya poleciła im wdziać mundury. Nie usłuchali. Wtedy poczciwy Mianowski wszedł do pierwszego z brzega auditorium i rzekł: „Moi kochani, proszę was, włóżcie mundury.“ Na drugi dzień ani jeden student nie pokazał się w cywilnem ubraniu. Dla czegóż panowie — spytał w końcu profesor — nie zrobicie podobnie?

— Dla tego — odrzekł jeden ze studentów — że nikt nam nie powiedział *moi kochani*.

Cały systemat postępowania w tych dwu słowach i cała tajemnica kierowania młodzieżą. Mianowski był w tej sztuce mistrzem, bo umiał być dla młodzieży ojcem.

Sens moralny tego wspomnienia bardzo prosty: rozumny, taktowny, kochający młodzież przewodnik nie tylko ugasi każdy płomień śród studentów, ale nawet nie pozwoli mu się rozżarzyć. Młodzież, w masie wzięta, jest wszędzie jednaka; czy ona więc ma pójść po tej lub po innej drodze, zależy to od tych, którzy jej przewodniczą. Dowodem Mianowski, dowodem wreszcie jeden z dziekanów warszawskiego uniwersytetu, który go nam przed kilku dniami przypomniał. Dziwilibyśmy się bardzo studentom, gdyby jego rad nie usłuchali. My Mianowskiego w Szkole Głównej usłuchalibyśmy niezawodnie.

Zamąciło się życie nasze w ostatnim tygodniu brzydkim brudem, który sąd musiał aż rozbierać przy drzwiach zamkniętych. Na ławie podsądnych zasiadło dwoje ludzi — czemuż nie dwoje! Czemuż na kolanach winnej znajdowało się dziecko, sześcioletnia dziewczynka, która z ust prokuratora, obrońcy, świadków, musiała wysłuchać całą historyę hańby swej matki i ojca?! Przed boleścią tej strasznej lekcyi uchroniła ją może niewinność, niezdolna jeszcze pojąć zgrozy obnażonych tajemnic. Od czasu do czasu wybiegała na salę wesoła, jak gdyby rodzice w dniu jej imienin bal wyprawiali. Nie potrzeba zmyślać obrazów piekielnej ironii, samo życie ich dostarcza. Bo czyż jest coś bardziej szyderczego, jak widok sądu, w którym uwiedziona spowiada się publicznie ze swych grzechów i prosi o przyznanie jej od starego uwodziciela alimentów, on zaś osłonięty pancerzem kodeksu, zabraniającego poszukiwać ojcowstwa, odbija wszystkie jej błagania i wyrzuty, a tymczasem owoc nieprawego związku, dowód winy, dziecko bawi się uśmiechnięte i na cienie posępnego dramatu rzuca blaski swej niewinności? Co za ludzie — spytacie — którzy odważyli się grać role w tym dramacie? Ona — zwykła ofiara rozpusty, o tyle litości godna, że pozostawiona w nędzy, że nie chce dalszą hańbą ratować siebie i dziecka, że przechodzi przez wszystkie ognie wstydu i upokorzenia. A on? Ojciec kilku córek, a zatem rozumiejący pewnie cześć kobiety i przywiązanie do dziecka; posiadacz znacznego majątku, a więc mogący nagrodzić tę, którą skrzywdził, sędzia i wójt gminy, a więc odczuwający słuszność i prawo — ten człowiek dla oszczędzenia sobie kilkuset rubli sponiewierał publicznie matkę własnego dziecka, naznaczył je piętnem nieprawości, wreszcie wystawił siebie pod pręgierz sromoty — w 50 roku życia! Do tylu rysów ujemnych ani jednego już dodać nie można w granicach zwykłej natury ludzkiej. Ocenił to należycie sąd, który stanął w obronie pokrzywdzonej i skazał Don Żuana na płacenie alimentów matce i dziecku. Gdyby ściany sali miały ręce, przyklasnęłyby niewątpliwie temu wyrokowi. Z martwych paragrafów kodeksu błysnęło wspaniałe światło tej sprawiedliwości, które każda uczciwa dusza z występku wykrzesze. Wyrok w tej sprawie będzie jedną z najpiękniejszych kart w księdze sądów naszych. Bo jeżeli w nim brak czegoś, coby sumienie dopisać chciało, to jest wszystko, co kodeks orzec pozwolił.

Czy winny, obciążony tym wyrokiem, czy człowiek tego charakteru znowu jako sędzia gminny powróci do swych obowiązków i cudze sprawy rozstrzygać będzie?

Nam się zdaje, że chyba nie. Temida nie była rozpustnicą a i sędziowski łańcuch włożony na szyję cudów nie robi, tylko władzę widomym znakiem wskazuje.

Poseł Prawdy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 24 lutego.

W braku innych, ważniejszych wypadków politycznych, rolę ich grają mowy — Bismarcka i Gambetty. Kanclerz niemiecki długo milczał, ale gdy się wreszcie rozgadał, nie można go powstrzymać. A powstrzymać by warto, choćby dlatego, ażeby resztka przerażonych jego szczerością ministrów nie uciekła i nie porzuciła tek swoich. Ks. Bismark bowiem jest w usposobieniu „zarzynania“ kolegów. Niedawno w sejmie oprawił b. ministra finansów Camphausena, obecnie w Izbie Panów ugodził ministra spraw wewnętrznych, hr. Eulenburga. Ostatnie to starcie wzbudziło w Niemczech dreszcz od góry do dołu. Sam sposób bowiem operacyi kanclerza jest wypadkiem wyjątkowym. Naturalny zwyczaj wymaga, ażeby przy rozprawach nad nowemi ustawami przedstawiciele rządu występowali zgodnie wobec przedstawicieli narodu. Osobiste przekonania ministrów powinny się ukryć w jednej harmonii. Tymczasem w chwili gdy hr. Eulenburg na posiedzeniu Izby Panów wypowiedział zapatrywanie rządu na uchwalone przez sejm prawo o stosunkach zależności władz gminnych, powstał niejaki Rommel, komisarz, i odczytał list Bismarcka, wyrażający zdanie przeciwne. Nienawykli do takich zdarzeń panowie, doznali takiego wzruszenia, że prezydujący musiał zawiesić sesyę na pół godziny dla — złapania oddechu. Obrażony Eulenburg podał się do dymisyi, dzienniki zatrąbiły na gwałt. Kanclerz, spostrzegłszy, że zamiast ministra ustrzelił bąka, pomimo „przeziębienia“ wpadł na drugi dzień do Izby i zaczął uniewinniać się, karcić złe zrozumienie jego słów a nadewszystko niezdarność owego komisarza, któremu dano instrukcyę prywatną a on ją odczytał publicznie. Na głowę tego kozła ofiarnego złożył Bismarck wszystkie swoje grzechy a podobno ma go pozbawić urzędu i puścić na pustynię. Wszystko jednak nie skłoniło dotąd ministra do cofnięcia dymisyi — co jest świadectwem szczerości wyjaśnień Bismarcka.

Z innego, lepszego powodu zabrał głos Gambetta. Korzystając z interpelacyi co do wiadomości, jakoby Francya dostarczyła broni Grecyi, marszałek Izby francuskiej ustąpił miejsca koledze i wszedł na trybunę. Cała jego mowa wymierzona była na odparcie zarzutów, oskarżających go o wpływy na politykę zagraniczną i ukryte zamiary wojenne. Gambetta wezwał ministrów na świadków, czy kiedykolwiek wywierał na nich nacisk. Było to zaprzeczenie dawnych swych, podobno autentycznych słów: „ktoby teraz *mówił* o odwecie, wart rozstrzelania, ale ktoby *nie myślał* o nim, wart także rozstrzelania“. Są-

dzimy, że niejeden francuz, wysłuchawszy tego zaparcia się zamiarów wojennych, powiedział może: gdyby Gambetta tak myślał, jak mówi, wartby rozstrzelania. I rzeczywiście, choćby patryoci Francyi przysięgli na wszystkich bogów, że nie marzą o odwecie, nikt by im nie uwierzył. To też wszystkie pokojowe zapewnienia rządu francuskiego wywołują niezawodnie gorzki uśmiech na usta Bismarcka.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Gazety rosyjskie donoszą, iż kursa wyższe dla kobiet urządzać będzie można we wszystkich miastach, posiadających uniwersytety, a to według prawideł ustanowionych dla istniejących już kursów tego rodzaju.

Stowarzyszenia. W Akademii Umiejętności w Krakowie odbyło się w d. 10 b. m. posiedzenie wydziału historyczno-filologicznego. Zebrani wyrazili za pośrednictwem dyrektora wydziału prof. dr. Heyzmana radość swą z powodu powołania przez cesarza austryackiego sekretarza generalnego d-ra Józefa Szujskiego do Izby Panów. Dr. Szujski złożył następnie wydziałowi nadesłane na jego ręce prace, a mianowicie: p. Kanteckiego: *Kiedy przeniesiono wybory kwestorów z komicyów centuryatów do komisyów trybutów,* i p. Marcelego Turkawskiego: *Zbiory archiwalne w Samborze z wieku XVII.* Następnie p. Stanisław Zrański odczytał wstęp do dzieła swego: *Nowy organ dydaktyki według metody Bakona,* zaś prof. Bobrzyński drugą część rozprawy swej *O organizacyi pierwotnej społeczeństwa polskiego,* a mianowicie: *O kamieniach w pierwotnej Polsce,* poczem rozbierał jeszcze *Księgę fundacyjną klasztoru henrykowskiego na Szląsku.*

— Na posiedzeniu biologicznem Towarzystwa Lekarskiego warszawskiego, odbytem w d. 22 b. m., dr. Stanisław Markiewicz odczytał rzecz p. t. *Z teoryi i praktyki karmienia niemowląt mlekiem krowiem,* zaś dr. Jul. Kramsztyk mówił *O nowych środkach sztucznego karmienia niemowląt.*

— Koło artystyczno-literackie krakowskie wydaje album autograficzne na korzyść Zagrzebian. Udział w pracy biorą przeważnie członkowie Koła. Z pisarzy zamiejscowych nadesłali utwory swe: J. I. Kraszewski, B. Grabowski i V. Tissot. Tytuł albumu: *Kraków Zagrzebiowi.*

— Lwowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych na ostatniem posiedzeniu członków swych obrało na prezesa Leszka hr. Borkowskiego, na wice-presesa zaś d-ra Rajskiego. W roku ubiegłym fundusz żelazny Towarzystwa wynosił 6,981 złr.

Dziennikarstwo polskie. *Doniesienia warszawskie* znowu zaczęły wychodzić. Gazeta ta anonsowa przeszła na własność p. W. Grabowskiego.

Dziennikarstwo zagraniczne. W Paryżu wychodzić zaczął nowy miesięcznik naukowy *La reforme alimentaire,* pod redakcyą doktora Abla Hureau de Villeneuve. Publikacya ta będzie organem zwolenników wegetaryanizmu.

— Zeszyt II czwartego tomu, czasopisma *Archiv für slavische Philologie,* wydawanego przez profesorów Ig. Jagicza w Berlinie, W. Nehringa we Wrocławiu i A. Leskiena w Lipsku, zawiera kilka prac, niezmiernie dla nas ciekawych, a mianowicie: *Staropolskie zaklęcia z XIV stulecia* przez W. Nehringa; tegoż *Najstarszy dotąd znany z datą pomnik języka polskiego;* i *Uwagi o języku staropolskim Biblii królowej Zofii,* przez d-ra E. Ogonowskiego.

Literatura polska. *Źródeł dziejowych* wyszedł z druku tom 8 i zawiera: *Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego.* Bliższą wiadomość o tem dziele podamy później.

— Michał Jezierski *Pani podkanclerzyna,* powieść z czasów Jana Kazimierza.

— Dr. Antoni J. wydał we Lwowie dwa szkice historyczne: *Porwanie króla* i *Niedoszłe legiony.*

— *Encyklopedyi wychowawczej* zeszyt siódmy wyszedł z druku i zawiera, między innemi, wyczerpujący artykuł p. Adolfa Dygasińskiego p. t. *Atlasy.*

— W księgarniach naszych ukazało się dzieło d-ra Sieniawskiego *Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Łabą a granicami dawnej Polski,* od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych, Gniezno 1881. Z dziełem tem poznajomimy czytelnika szczegółowo.

Literatura francuska. Pani Ratazzi wydała pierwszy tom dzieła: *Ratazzi et son Temps. Notes et documents pour servir à l' histoire d' Italie.*

— Chautelauze, historyk francuski, na podstawie nowych dokumentów przygotował do druku szkic p. t. *Louis XIV et Marie Mancini.*

Literatura niemiecka. W Hamburgu wyszło nakładem firmy Hoffmann i Campe dziełko pod tytułem *Erinnerungen an Heinrich Heine,* stanowiące nowy przyczynek do dziejów życia słynnego poety. Autorka, Marya Embden Heine, Principessa della Rocca, jest córką siostry Heinego, Karoliny. Praca zawiera między innemi szczegóły odnoszące się do dziejów młodości poety, jego studyów, wspomnienia z pobytu Heinego we Włoszech, Francyi i Niemczech. W dalszym ciągu siostrzenica poety opowiada o małżeństwie z Matyldą, o chorobie i wreszcie o śmierci Heinego.

— J. Löwenberg *Geschichte der geografischen Entdeckungsreisen im Alterthum und Mittelalter bis zu Magellans erster Erdumsegelung* (Berlin i Lipsk, Spamer).

— Jakób Falk *Geschichte des modernen Geschmacks* (Lipsk. Weigel).

— Armand v. Schweiger Lerchenfeld wydał u Hartlebena w Wiedniu najnowsze swe dzieło p. t. *Der Orient.*

— Firma G. Weise w Szluttgarcie puściła w świat *Genealogiczno-statystyczne tablice* v. der Becke-Klüchtznera. Pierwsza część obejmuje Królestwo Pruskie, druga Bawarskie.

— F. Lotheissen, *Moliere, sein Leben und seine Werke.*

— Ogólnego zbioru dzieł Leopolda Ranke wyszedł tom czterdziesty siódmy i zawiera drugą część dzieła: *Hardenberg und die Geschichte des preussischen Staates von* 1793 - 1813.

— Profesor Bursian, w Monachium, pracuje nad *Historyą filologii.*

Literatura włoska. Ekonomista włoski, Aleksander Rossi, wydał we Florencyi cenną pracę o kredycie p. t. *Des credito popolare, nelle odierne Associazione cooperative.* Krytyka niemiecka wyraża się o dziele tem nader pochlebnie.

Literatura rosyjska. Herman Hoppe w Petersburgu wydał romans A. Pisemskiego p. t. *Wolnomularze.*

— Profesor W. Florinskij wydał w Kazaniu dzieło p. t. *Ruskije prostonarodnyje trawniki i leczebniki.* Zbiór rękopisów medycznych XVI i XVII wieku.

— I. A. Gonczarow, *Czetyre oczerki,* Petersburg 1881. Jest to zbiór szkiców krytycznych słynnego autora *Obłomowa.*

— P. Ogorodnikow, *Strana solnca,* Petersburg 1881. Autor daje opis podróży po Persyi i pobytu swego w prowincyi Chorsanie.

Prasa rosyjska. Znany działacz w kierunku zgody p. Szygarin wydawać będzie w Kijowie gazetę rosyjską z dodatkami polskimi.

Konkurs. Hiszpański dziennik *Epoca* donosi, że Akademia madrycka ogłosiła konkurs za napisanie poematu na cześć Calderona. Do konkursu zaproszono poetów francuskich, angielskich, niemieckich, włoskich i polskich. Poemat winien mieć conajmniej 200 wierszy i nadesłanym być musi nie później jak 31 marca r. b.

Archeologia. Przy budowie drogi w Górze pod Znirem w Poznańskiem wykopano dwa naramienniki pochodzenia rzymskiego, z litego srebra, które nabyte zostały do zbiorów Towarzystwa historycznego w Bydgoszczy.

— Nad rzeczką Nerem, na gruntach wsi Rozanki Małe, Kraski i Chwaliboszyce, pomiędzy stacyami kolei żelaznej Dębie a Łęczycą, odkryto obszerne cmentarzysko pogańskie. *Przegląd bibliograficzno-archeologiczny* pomieści w najbliższym zeszycie szczegółowe sprawozdanie o tem odkryciu.

— W bibliotece Bordeaux znaleziono w ostatnich czasach ciekawy rękopis Moutesqui'ego, który napisany był w roku 1785 na konkurs ogłoszony przez akademię w Bordeaux.

Malarstwo i rzeźba. Na wystawę sztuk i starożytności przybyło 60 obrazów Maksymiliana Gierymskiego.

— Lwowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych wybrało na premium na rok ubiegły obraz Wojciecha Gersona, przedstawiający *Królowę Jadwigę, usiłującą opuścić zamek krakowski.*

Muzyka. W hanowerskim teatrze królewskim wystawiono wielką operę młodego kompozytora angielskiego, C. Villiers Stauforta p. t. *Zakwefiony prorok.* Libreto przypomina treścią operę *Lalla Rookh.*

Teatr. Teatr królewski w Monachinm z okoliczności setnej rocznicy śmierci Lessinga urządził szereg przedstawień, na które złożyły się wyłącznie arcydzieła dramatyczne słynnego poety. W ciągu trzech dni wystawiono: *Philotasa, Minę v Barnhelm, Emilię Galotti* i *Natana mędrca.*

— Gustaw Moser, niezwykle popularny komedyopisarz niemiecki, obchodzi w marcu r. b. dwudziestopięcioletni jubileusz pracy swej dla sceny niemieckiej.

— Na scenie krakowskiej wystawiono komedyę p. t. *Mateczka.*

— W Kaliszu towarzystwo dramatyczne p. Puchniewskiego wystawiło sztukę Lucyana Siemieńskiego p. t. *Portret pięknej kobiety.*

— Na scenie Teatru Rozmaitości wystawiono dramat H. Sienkiewicza p. t. *Na jedną kartę.*

— Znany komedyopisarz Adolf L'Aronge napisał nową komedyę p. t. *Der Compagnon.*

— W Poznaniu wystawiono dramat *Maćko Borkowic,* Wincentego Rapackiego.

— W paryzkim Teatrze Nowości przedstawiono parodyę z głośnego utworu Zoli *Nana* p. t. *Oh! Nana.* Sztuka ta ma być niezwykle dowcipną.

Nekrologia. *Teodor Rudkowski,* literat, autor zbiorku poezyj, wydanego w Lipsku p. t. *Z głębi duszy,* tudzież kronik paryskich, drukowanych pod pseudonimem Teodora Bończy w *Gazecie lwowskiej,* zmarł przed kilkunastu dniami w Paryżu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. I. D. Obu pytań Pani nie rozumiemy.

P. Wacł. Trz. w Nowogrodzie. Nr. 2 wysłany.

P. I. R. w Petersburgu. Wydawca odpowie listownie.

P. Eys. w Moskwie. Zapisaliśmy na rok cały.

Sprostowanie. W Nr. 6 w *Kronice* bieżącej, szp. 2 w. 53 zam. *1816* czyt. *1616.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Февраля 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.